

Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

Prenumerata wynosi: w Warszawie kwartalnie rs. 1 kop. 50.— Z przesyłką pocztową w Cesarstwie i Królestwie, kwartalnie rs. 2. Numer pojedynczy kop. 15. — w Poznaniu prenumerować można w księgarni Leitgebera; w Krakowie za pośrednictwem ustanowionej agencji, przesyłając należytość do A. Nowoleckiego w wydawnictwie Czytelni ludowej. Przedpłata dla Galicji z przesyłką pocztową kwart. złr. 3 c. 52. w Krakowie złr. 3 c. 26. Listy i przesyłki pieniężne adresować prosimy: Do J. K. Gregorowicza w Warszawie Ulica Zabia Nr. 956 (nowy 6) dom narożny przy targu.

Treść Numeru. Początek róży (Wiersz).—Paryżanka.— Korespondencja ze Lwowa.—Urywki z podróży po Styrii przez Tadeusza Jerzego Steckiego.— Pamiętnik Wacławy przez Elżę Orzeszkową.— Mąż i Żona powieść tłum. przez Paulinę Wilkońską. Przytym dodatek z drzeworytami.

Z teki ś. p. Jakóba Zakrzewskiego.

POCZĄTEK RÓŻY.

(Bajka Fr. Rückerta).

Rośnie krzaczek — liść z gałązek
Skubie jagnię młode,
Sobie tylko na przysmaczek
Nie jemu na szkodę.

Cierń nawzajem po futerku
Zadrasnął — ba gorzej,
Coś i urwał — no! płateczek
Tem go nie zuboży.

Dziwnie wesół, pulchną zdobycz
W ostrych palcach trzyma;
Aż tu słowik za podściółką
Pogląda oczyma.

I tak rzece: — Ej! sąsiedzie
Daj mi ten płateczek,
A nasłuchasz się odemnie
Bez liku piosneczek.

Dał, już słowik gniazdko ścięte,
A gdy w niem zaśpiewał,
Krzew z radości zakwitł w różę,
Jakich wprzód nie miewał.

PARYŻANKA.

Paryżanka! wyraz ten niedawno jeszcze przedstawiał wyobraźni naszej istotę lekką, próżną, pełną sztucznego wdzięku, strojną według ostatniej mody, kapryśną, samolubną, rozmiłowaną w zbytkach. Ta-

ką znano ją na bulwarach, polach Elizejskich, w ogrodach i teatrach, w pałacu wystawy i t. p.

Inaczej dziś paryżanka pojawia się oczom naszym.

W ciągu blisko pięć-miesięcznego obłęzenia, kobiety paryżkie, zaczawszy od pań wielkiego świata, aż do prostych wyrobnic, okazały niesłychaną energię i prawdziwą moc duszy. Głos powszechny odaje im najchlubniejsze świadectwo.

Ledwie że pierwsze krople krwi spłynęły na ziemię francuzką, paryżanki jakby ocknięte ze snu, zrzucają świetny strój, i zabierają się gorliwie do szarpii. Według uznania lekarzy, ambulans. i szpitale dzięki staraniu kobiet, tak zostały hojnie zaopatrzone w szarpie i bieliznę, że gdyby wojna przetrwała lat dziesięć, starczyłoby jeszcze tych zapasów.

Od początku wojny zawiązywały się co dnia nowe stowarzyszenia kobiet. Jedne z nich miały na celu pielęgnowanie rannych po ambulansach, drugie zajmowały się losem ubogich rodzin, opuszczonych przez mężów i synów. Z pomiędzy tych towarzystwo sióstr Francji na szczególną zasługuje uwagę.

Założycielem jego był pan Emil Barrault, członek komitetu obrony narodowej, ale pierwsza myśl wyszła od kobiety. Dnia jednego podczas sesji, otrzymał on list kobiecą nakreślony ręką, pełen gorącego uczucia. Osoba która pisała list żali się gorzko, że w chwilach tak ważnych, kiedy mężowie i bracia śpią pod chorągwie Francji, połowa społeczeństwa gnuśnieje w bezczynności. A przecież tak szerokie pole otwarte dla jej działalności! Mężczyzna służy jako żołnierz, czemużby kobieta nie miała służyć jak szwaczka, szafarka lub dozorczyńni chorych? Czyżby nie należało zaciągnąć szeregu ochotniczek, któreby zobowiązały się na piśmie albo słowem, poddać pod zwierzchni zarząd i spełniać cokolwiek im władza rozkaże?

Z tej to myśli wyszło niebawem Towarzystwo *Siostr Francji*; są to po prostu Siostry miłosierdzia niezwiązane zakonnym ślubem.

Pan Barrault zajął się gorliwie organizacją Towarzystwa, ale nie łatwe to było zadanie. Liczba ochotniczek była wielka, wypadło baczenie wybierać między niemi, aby nie dać powodów do nadużycia. Położono więc za warunek, iżby stowarzyszone panie z własnych funduszków starczyły na wszelkie potrzeby. Kwesta pieniężna najsurowiej była im zabronioną. Panny i mężatki, miały równe prawo wchodzić do towarzystwa, ale nieprzyjmowano młodszych nad dwudziesto-pięć latnie. Ubiór ich był dowolny, zwykle ciemny, na piersiach nosiły wyszyty krzyż czerwony, godło konwencji Genewskiej.

Cały Paryż przyklasnął nowo utworzonej instytu-

cji. Właściciele domów poddawali na ten cel opróżnione mieszkania. Przesyłano na wyścigi łóżka, materace, bieliznę, sprzęty i wkrótce stanęło do trzydziestu lekkich ambulansów, po różnych stronach miasta. W każdym z nich kobiety pełniły służbę dniem i nocą, luzując się naprzemiennie, a nad każdym zakładem, czuwała poważna matrona zwana matką.

Rzecz dziwna! osoba która napisanym listem do komitetu obrony, podała pierwszą myśl dobroczynnego stowarzyszenia, wcale nie miała w nim udziału. Nazwisko jej było skompromitowane. Jako żona jednego z wysokich dostojników cesarstwa, zmuszoną była opuścić wkrótce Paryż. Siew jednak rzucony jej ręką, miał wydać najpiękniejsze owoce.

Niektóre z ambulansów przeznaczone były dla chorych na tyfus, inne dla dotkniętych epidemiczną ospą. Tu poświęcenie sióstr było w całej mocy. Żadna nie cofnęła się przed ciężkim obowiązkiem, bez względu na widoczne niebezpieczeństwo.

Z uczuciem podziwu i uwielbienia, zwiedzali paryżanie wzorowy ambulans w Saint-Maudé. Dyrgowała nim osoba blisko siedemdziesięcioletnia. Ona to własnym kosztem napełniła szafy bielizną, szpizarnię zapasami żywności, i to w czasach kiedy najmniejszy kęs opłacany był na wagę złota. Przychoźący do zdrowia, mieli wszystkiego podostatkiem, żadnemu nie wydzielano pokarmu. Zaczynała matrona całe noce przepędzać przy łożu chorych, każdy ranny był dla niej jakby rodzonym synem.

Oprócz ambulansów w mieście były inne po za szafkami. Tu znoszono rannych z pola bitwy, chorych i zmarłych z posterunków. Dawano im pierwsze starania, poczem wyprawiano do ambulansów miejskich. Siostry Francji pełniły tu posługę z całym poświęceniem, nie zważając na bomby przelatujące im bezustanku nad głową.

W Bagnolet, także za szafkami, dwie kobiety urządziły własnym staraniem prawdziwie uroczę gniazdeczko, w małej ceglanej budce przypartej do bastionu. Ściany i podłogę wybiły kobiercami, sprowadziły kilka wygodnych łóżek i w tym maleńkim le-dwie dojrzanym domku, przez trzy miesiące blisko, pielęgnowały chorych, własną ręką opatrywały im rany, a słowami pocieszały i krzepiły zwałatego ducha. Jedną z nich żona wojskowego, miała męża w niewoli, druga już niemłoda, była wdową. Ta ostatnia wahała się zrazu czy przyjąć trudny obowiązek, który ją zmuszał do opuszczenia jedyne-go dziecka. Sama córka skłoniła ją do tego:

— Matko, rzekła, nie uchylaj się od służby, gdyby żył ojciec pochwyciłby pewno za oręż. Jego niema ty przynajmniej pielęgnowaj rannych! Gdybym miała,

lata wymagane, pośpieszyłabym z toba, nie mając ich zlorzezczyć muszę własnej młodości.

Poeta Manuel w dyalogu, który odgrywano często na scenie, przedstawił wnętrze ambulansu w bliskości pola bitwy.

Ranny śpi, kobieta ubrana ciemno, z czerwonym krzyżem na piersi, stoi u wezgłowia, przygląda się śpiącemu, szczęśliwa że troskliwym staraniem ocaliła mu życie.

Oto słowa które poeta kładzie w usta siostry, określając w nich jej powołanie, jej ofiarę:

Pomnę kiedy biedaka wniesiono w te progi,
Duch w nim ledwie kołatał!... drzę jeszcze od trwogi....
I kiedyż ja mój Boże w moc serce uzbuję,
W obec mordów spełnianych w święte Imię Twoje?—
Złożono go na słomę — zbliżyłam się z cicha...
Straszny był... w krwi starzany... pierś ledwie oddychał
Przywalon stosem trupów przeleżał noc całą,
Do posług już sił naszym i czasu niestało!
Okropnaż to posługa! Wśród trupów tysiąca
Wysłuchiwać się gdzie jeszcze uderza pierś drżąca,
Biedny! kula głęboko utkwiła mu w łonie,
Lecz słabiuchna iskierka jeszcze w sercu płonie,
Patrzę w oczy lekarza... on wiary nie traci,
Cudowna moc nauki! ależ tylu braci
Na pomoc biegnącej ręki niecierpliwie czeka,
Gdy oko jego czuwa nad chorym zdaleka,
Niechże ktoś u wezgłowia schylon dniem i nocą,
W każdej chwili rannemu pośpieszy z pomocą,
To zbliży do ust napój gdy spragniony woła,
To uchyli poduszkę, to otrze pot z czoła,
To w bólu słodkim słowem doda mu podniety
Oto walk naszych pole! tu tryumf kobiety,
Nie same rany ciała nam goić przystało,
Lecz kojący lać balsam na duszę zbolałą.
Mówić tym o nadziei, o Bogu, o niebie,
Których ziemia w swem łonie może dni zagrzebie,
Kiedy śmierć im na czole blade piętno znaczy,
Błogosławionem słowem ustrzedz od rozpaczki!

Wielka to zaprawdę była szkoła! Kobieta która trzy miesiące przeżyła w takim zaparcu siebie, w obec cierpień ludzkich, w obec śmierci, wśród granatów świszających jej nad głową, owiana zarzłiwymi wzywaniem, taka kobieta musiała przerodzić się koniecznie. Serce jej, istny kruszec wypalony w ogniu ofiary, musiała pozbyć się tysiąca wad i próżnostek, pogląd jej na świat musiał rozszerzyć się i podnieść, słowem musiała stać się inną, niż była, w czasach kiedy lekka stopą ślizgała się tylko po powierzchni życia, nie wglądając nigdy do głębi.

Duch ofiary ogarnął wszystkie szezeble społeczeństwa paryzkiego. W główniejszych teatrach urządzono ambulanse, staraniem artystek dramatycznych. One same doglądały rannych przy pomocy siostr miłosierdzia, które im nie odmawiały współudziału.

Coraz rozleglejsze pole otwierało się dla działalności kobiet, w tych nieszczęśliwych czasach. Kiedy jedne czuwały u wezgłowia chorych, inne roznosiły żywność i zasiłek biednym rodzinom. Takie wzajemne zetknięcie bogatych z ubogimi, najkorzystniejszą oddziaływało na obie strony i w sercu biednych łagodziło gorycz, w sercu bogatych budziło uczucie miłosierdzia, głoszone przedtem próżnością i samolubstwem. Nie jedna z wielkich pań, poraz pierwszy w życiu spojrzęła nędzy oko w oko.

Gdy żywność przychodziła do bajecznych cen, a tem samem stawała się niedostępną dla ubóstwa, poczęto urządzać za zbiorowy fundusz, tanie sklepiki i garkuchnie. Tu znów kobiety wystąpiły z czynnym udziałem i nie dosyć, że składały hojnie dary na założenie owych kuchni i sklepów, ale co więcej, po całych dniach stały za straganem lub przy kotle i własną ręką rozlewały zupę albo rozkrawały mięswo. Aby uszanować godność ubóstwa, sprzedawały za bezcen ową żywność tym, dla których jałmużna byłaby zbyt ciężkim upokorzeniem. Biedniejsi otrzymywali ją za bonami lub nawet i bez bonów. Sam widok pożółkłej z głodu twarzy wystarczał za świadekstwo.

Zakończymy tu słowami kronikarza tych smutnych czasów (1) który pod każdym względem zasługuje na wiarę zwłaszcza, że śmiało rzuca w oczy

prawdę współziomkom ilekroć na to zasługują. Kobiety, mówi on, okazały większą jeszcze moc duszy i wytrwałość od mężczyzn. One to ponosiły cały ciężar gospodarstwa domowego, one wyczekiwały całe godziny u drzwi piekarzy i rzeźników, one gotowały ubogi obiad, obdzielały dziatwę chlebem ojętym od ust własnych, one słodkim uśmiechem ożywiały progi domowe, a ciepłem serca usiływały zastąpić wygasłe ognisko. O! przeżadne Francuzki! ileż to skarbów poświęcenia i miłości, wydobędziesz z ich serc, jeżeli umiesz zapukać do nich w godny sposób. Zgubna zaraza zbytku, rozbudzona przez lat dwadzieścia, czepiła się tylko zwierzchnich warstw społecznych, ogół kobiet zachował serca krzepkie i dzielne. Widzieliśmy tysiączne tego dowody, w dniach smutnych klęsk i prawdziwie bohaterkich poświęceń “

Seweryna Duchńska.

Korespondencja ze Lwowa.

Pierwszą ofiarą tej demonicznej lekkomyślności Laury stał się jej mąż, który rychło poznawszy moralną nicość pięknej pani bez serca, z podziwienia godnym stoicyzmem potrafił stłumić w sobie dawną miłość i odtąd z ironicznym uśmiechem i całkiem obojętnie przypatruje się kokieterji swjej żony. W chwili gdy Laura znajduje się u szczytu swoich tryumfów, gdy tłum zaślepionych wielbicieli, korzy się przed nią z niewolniczą uległością, dostaje się Albert do jej domu jako guwerner maleńkiego synka. Albert jest jednym z tych ludzi, co ustawicznie marzą o ideałach i w szlachetnem uniesieniu na ślepo wierzą pięknej, choćby nawet niezręcznej masce. Laura sprzykrzyła już sobie holdy hrabiów, którzy przy większej wyrozumiałości dla ułomności kobiet, rychło oswoić się potrafili z doznaniem rozczarowaniem. Albert jest dla niej ciekawym człowiekiem. Poznała od razu, że skoro go raz osiłi kłamanami uczuciami, on na zawsze pozostanie jej niewolnikiem. I nie zawiodła się wcale w tej kombinacji. Wystarczyło kilka obłudnych spojrzeń, kilka kłamliwych wyrazów sympatji, by zupełnie osiłił biednego guwenera. Laura była mocno zadowolona z tego tryumfu, bo w swojej całej karierze, spotykała się dotąd tylko z wielbicielami, którzy mimo doznanego obalamucenia, nie stracili przecież niedowiarstwa w stałość kobiety i tem się od gorzkiej rozpaczki ocalili. Albert był pierwszym niewolnikiem Laury w całym tego słowa znaczeniu. Zaniepokoiło to nawet obojętnego, ale w gruncie szlachetnego hrabiego, który w sposób nie dwuznaczny przestrzegwał Alberta przed łatwowienością jego, a żonie gorzkie z tego powodu czynił wyrzuty. Albert słyszał te wymówki męża, podśledzał także tłumaczenie Laury, która w pogardliwy dla niego sposób starała się osłabić podejrzenia swego męża. Ale ani te ostrzeżenia ani wyraźne upomnienia poczciwej Halki wychowawicy Laury, nie zdołały zachwiać wiary Alberta w stałość i szczerść Laury, która obłudnie upewniała go, że maskować się musi przed światem płochością pozorną, i że serce jej wyłącznie do niego należy. Albert tak wierzył w szczerść Laury, że wcale nie niepokoił się ciągle zmieniającym się tłumem jej wielbicieli. Pełen zachwytu, młodzieńczej egzaltacji i ufności w wielkie serce Laury uwyjechał Albert ze swoim elewem i jego rodzicami do wód za granicę. Tu już hrabina tak mocno zaczęła się awanturować, że nawet poczciwemu Albertowi zaczęły łuski spadać z oczu. Widział Laurę w towarzystwie bogatych Anglików, ekscentrycznych artystów, egzaltowanych poetów, słyszał nieraz przypadkiem, w jak oburzający i cyniczny sposób drwiła sobie z miłości biednego guwenera, by tem uspokoić podejrziwych wielbicieli. Albert zrobił hrabinie wyraźną przymówkę, ale ta nie chcąc porzucić jeszcze swjej ofiary robiła mu bolesne wyrzuty, zarzucając mu niewyrozumiałość dla form konwencjonalnych wielkiego świata, któremu ona tylko napozór hołdowała, a żeby tem bezpieczniejszą nacieszyć się mogła skrytem uczuciem prawdziwej miłości. Albert słysząc te słowa, widząc w oczach Laury łzy, i wyraz bolesnego wyrzutu karciał siebie, za to że na chwilę stał się zazdrośnym i podejrziwym, błagał Laurę o przebaczenie i mimo ciągłych przestróg Halki łudził się szatańską obłudą kokietki. Podczas jednej takiej sceny Laura dla uspo-

kojenia zazdrośnego Alberta, podsunęła mu plan ucieczki do Włoch lub Szwajcarii.

Plan ten zezłatował biednego Alberta do najwyższego stopnia. Myślał ciągle nad tem, w jaki sposób mógłby powiększyć mozolną pracą nauczycielską, zaoszczędzony kapitalik. Rzucił się do gry hazardowej, z początku z pewnem wyrachowaniem i zimną kombinacją, ale gdy szczęście niechciało sprzyjać, opanowała go dzika namiętność i ruleta pochłoneła cały fundusik. Równocześnie spotkał go drugi jeszcze boleśniejszy cios. Laura zdjęła na chwilę maskę i nie pozwoliła przystąpić do siebie biednemu bankrutowi, a równocześnie pracowała nad osidleniem jakiegoś kuzynka swego. Znowu po raz trzeci czy czwarty z kolei mógł się Albert przekonać o płochości Laury, znowu był mimowolnym słuchaczem cichych szeptów Laury z kuzynkiem Gustawem, przyczem osoba jego była przedmiotem najdotkliwszych szyderstw i uwag niegodziwych. Tak silnie wstrząsała ta scena Albertem, że zapadł w ciężką chorobę gorączkową. Laura z największą obojętnością słyszała szczegóły o niebezpiecznej słabości Alberta i nie okazała ani okruszyny sympatji albo troskliwości. Ale gdy Albert wrócił do zdrowia, Laura tymczasem sprzykrzyła sobie kuzynka i potrafiła rekonwalescentowi tyle dodać otuchy, że ten z idjotyzną już prawie skwapliwością uwierzył najzupełniej w szczerść jej uczuć i wyrzucił sobie podejrziwość nieuzasadnioną. Ale nowy bolesny dowód ohydne go wiarołomstwa Laury rozwiął to złudzenie bardzo prędko i biedny guwerner popadł w okropną recydywę. Gdy się obudził po długiej śmiertelnej gorączce, nie znalazł ani śladu po Laurze, która korzystając ze sposobności wyjechała do Włoch zostawiając Albertowi skromne honorarium zaległe, do którego poczciwa Halka przyczyniła się swoim groszem wdowim. Gdy Albert wrócił do zdrowia i dowiedział się o ucieczce Laury, w pierwszej chwili popadł w okropne zwątpienie, ale wkrótce z niepojętą słabością starał się usprawiedliwić ten krok kokietki, i myślał tylko o zebraniu funduszu, któryby mu pozwolił udać się za nią do Włoch. Tak silną a niewytłomaczoną była dlań potrzeba widzenia Laury, że nie zaważał się prosić hrabiego o pożyczkę, którą rychło otrzymał. Jak strzała popędził do Florencji, gdzie bawiła Laura otoczona rojem zachwyconych nadzwyczajną jej pięknością Włochów. Ujrawszy na ulicy schorzałego Alberta rzuciła nań wzrokiem pogardliwym i popędziła w wspaniałym powozie w towarzystwie jakiegoś Włocha do swojej willi. Ten wzrok powinien go być przekonać ostatecznie o wartości moralnej Laury. Ale Albert z niepojętą konsekwencją ludzi się ciągle, zebrze o jedno słówko, jedną chwilkę spotkania, przy którym Laura z cyniczną otwartością wzywa go, ażeby przestał ją drażnić swoją obecnością, grożąc mu domem warjatów. Albert przysięga iść za nią krok w krok i o chłodzie i głodzie śpieszy za nią do Rzymu, towarzyszy jej w przechadzkach po muzeach, przypatruje się z nią posągowi gladjatora, za co odbiera od ubóstwionej Laury tylko groźbę i gniewne spojrzenia. Nie wiemy, czy Albert tem ściganie Laury chciał jej dokuczyć, czy ludzić się dalej. To ostatnie przypuszczenie jest prawdopodobniejszem. Laura spełniła groźbę. Alberta osadzono w domu warjatów, zkaż wypuszczono go dopiero wtedy, gdy piękna pani Rzym opuściła. Jak nędzarz ostatni bez grosza i z zarodem suchot w wzburzonych namiętnością piersiach przywlokł się Albert do Warszawy. Zdał się, że się wyleczył z długiego obłędu, bo przedstawił swemu przyjacielowi Laurę tak, jak na to istotnie zasługiwała. Ale gdy pewnego wieczora poszedł z nim do teatru i tam ujrzał Laurę, od razu zmieniło się "wszystko. Pobiegł do loży jej i nagle znikł z Warszawy. Gdy go przyjaciel później spotkał zmienił się znacznie. Na pełnej twarzy znikł suchotniczy rumieniec, kaszel ustał jakby za użyciem czarodziejskiego leku. Albert był obecnie rzadką dobrą Laurę, łudził się dalej jej miłością i błagał przyjaciela swego, ażeby nie wierzył w to, co mu dawniej o swem bóstwie opowiadał. Albert zaklinał się, że Laura jest aniołem, że była nim także i wtedy, gdy go wsadziła do domu warjatów w Rzymie. Natenczas oskarżał siebie samego o oszczerstwo i kłamswo za to, że na chwilę zdobył się na prawdziwy sąd o Laurze! Na tem kończy się powieść.

Autor nadał temu utworowi nazwę: studjum - powieść. Jestto pod pewnym względem pleonazm. Jeżeli bowiem powieść w właściwym tego słowa znaczeniu, nie ma być jedynie misternym łańcuchem

1) Sarcey. Le siège de Paris. Impressions et Souvenirs.

ciekawych faktów i przypadków, jeżeli znaleźć w niej mamy akcję, będącą logicznym wynikiem charakterów i spojona za pomocą głębszych motywów w pewną całość organiczną, natenczas nazwa studjum należałaby się słusznie każdej powieści.

Najświetniejszą stroną tej powieści jest niezawodnie postać Laury. Hrabina jest znakomitym typem swawolnej kokietki, kobiety bez serca a przytem pewnej swych czarodziejskich wdzięków i chciwej ciągłych hołdów, które chwilowo tylko schlebiają jej próżności, a zaraz potem stają się nudnemi. Z prawdziwym mistrzostwem nakreślił autor obraz, tych wszystkich syrenich zabiegów i sideł, któremi tak zrećzna kokietka jak hrabina, poluje na łatwowierność i dobrą wiarę ludzi, którzy zbyt wcześnie ulegają podszeptom rozbudzonego uczucia. *Piękną panią* możnaby zatem uważać za studjum kokietery, ale tylko co do zewnętrznych, przemijających jej objawów. Nie dotknął bowiem autor przytem głębszych motywów, a mianowicie nie przedstawił nam tego ciekawego procesu psychicznego, jaki odbywać się musi w sercu kobiety, wśród całego szeregu kłamstw, swawolnych wybryków i szatańskiej obłudy. Laura przedstawiona jest w powieści jako kokietka niejako z nałogu. Próżność zaś i pycha nie mogłyby popchnąć jej do tylu występków, a przynajmniej rychłoby wywołała przesyty i refleksję. Ten brak serca w kobiecie młodej, ta potworna obojętność na honor, spokój i szczęście ludzi zupełnie jej oddanych, jest trudną do rozwikłania zagadką. Autor bowiem nie wyświecił szczegółów z życia Laury z którychby poznać można, że w sercu jej wrzała kiedyś silna namiętność, zanim pokryte zostało tak grubą warstwą lawy. Również zagadkową a nawet bladą figurą w powieści jest mąż hrabiny. W jednej z nich widzimy w nim pierwszą ofiarę płochęj Laury, patrzącą z apatią na świat, w drugiej przedstawia się czytelnikowi bardzo korzystnie, gdy upomina Alberta i ostro karci żonę, ale potem zaraz staje się znowu zimnym i obojętnym, że nie można tych sprzeczności pogodzić ze sobą. Zagadkową także a nawet paradoksalną figurą jest Albert, podobny do Orbeiki, jak dwie krople wody. Jestto człowiek słabego charakteru, bez żadnej energii, a przytem uległy najzupełniej wszelkim szeptom uczucia, idący na oślep za pierwszym silniejszym popędem serca. Do pewnego stopnia może człowieka opanować tak silna namiętność, że złamana wola i zgnieciona energia nie mogą odzyskać równowagi, ale w Albercie ta przewaga namiętności nad energją, tryumf jej nad wszelkimi perswazjami zdrowego rozsądku, doprowadzony jest do nadto ekscentrycznych rozmiarów. Zwłaszcza w samym końcu powieści nieprawdopodobieństwo razi bardzo silnie, a autor wywołuje nieraz efekt wprost przeciwny temu, jaki widocznie w planie jego leżał. Gdy Laura zamyka w rzymskim domu warjantów Alberta, goniącego za nią i wierzącego w jej miłość mimo tylu zdrad haniebnych, czytelnik nie oburza się na przewrotną kokietkę, nie czuje nawet sympatji dla jej ofiary. Owszem bierze każdego chętnie darować hrabinie jej dawniejsze zbrodnie i przyklasnąć za to, że osadziła w miejscu właściwym niedołężnego idjotę. Takim idjotą staje się bowiem Albert już zaraz po pierwszych spotkaniach z Laurą.

W niewielu powieściach Kraszewskiego spotkać się można za to z tak świetnym kolorytem, z taką werwą w opowiadaniu, z takim mistrzostwem w prowadzeniu akcji, jak w *Piękną panią*. Te zalety olśniewają formalnie czytelnika i pozwalają odczytać całą książkę za jednym zamachem, bez najmniejszego przestanku.

Należałoby może wspomnieć także o wydanym niedawno powieści dr. Kazimierza Chłędowskiego p. t. *Skrupuły*. Jestto pierwszy utwór belletrystyczny autora, który dotąd znany był tylko z cennych rozpraw ekonomicznej treści. Jednakże uwagi nad *Piękną panią* zajęły już tyle miejsca, że obawiam się nadużyć cierpliwości czytelniczek.

Wreszcie doczekaliśmy się, że nowa rada miejska zwróciła uwagę swoją na upiększenie miasta. Dotychczas budowano we Lwowie bez ładu i składu, bez żadnego względu na praktyczny i symetryczny kierunek ulic. Zład powstawał coraz większy chaos. Na jednym z ostatnich posiedzeń rada miejska na wniosek dr. Czerkawskiego uchwaliła polecieć urzędowi budowniczemu, ażeby wypracował dokładny plan miasta, w którym wytknięte być mają linie dla przyszłych ulic.

Drugim ważnym krokiem nowej rady miejskiej w powyższym kierunku, jest energiczne podjęcie pla-

nu budowy wielkiego hotelu miejskiego w miejscu, na którym stoi dzisiaj niepokazna ruderą przezwana hotelem angielskim. Miasto dawno już uchwaliło wystawić na całym tem obszernym placu gmach wielki, któryby zaradził wielkiemu brakowi porządných hotelów. W przyszyłym hotelu miejskim znajdować się będzie także ogromna sala, przeznaczona na zgromadzenia, bale etc. Dzisiaj już oglądać można w sali ratuszowej nadesłane plany tego budynku. Niewiadomo za którym z tych planów oświadczy się większość rady ale to pewna, że każdy z nich czyni zadose potrzebom praktycznym i względem estetycznym. Budowa rozpocznie się zapewne w następnym roku i potrwa lat kilka ale jest nadzieja, że dzisiejsza rada w ciągu trzyletniego swego istnienia zechce zakończyć to dzieło, czem sobie zasłuży na wdzięczność miasta i gości przybywających do Lwowa, którym brak hotelu bardzo dokuczal.

Po raz czwarty podobno w ostatnim półroczu przychodzi mi poświęcić osobny ustęp pani Dobieszewskiej, która tak rychło jak nikt dotąd w czasie krótkiego swego pobytu we Lwowie, umiała zjednać sobie rozgłos bardzo szeroki. Wykłady pani Dobieszewskiej o emancypacji kobiet wywarły silne wrażenie na słuchaczach, skoro już dzisiaj wszyscy u nas mówią i piszą o założeniu jakiegoś klubu panien, zwolenniczek emancypacji i jej apostołki. Nie mogłem dowiedzieć się coś bliższego o celu i statutach tego klubu, a z dzienników niepodobna się poinformować, co podają o tem bardzo pobieżne i niepewne wieści. W każdym razie jestto tylko niewinna zabawka z której cieszy się *Szczutek*, bo ma świeży temat do dowcipów.

Jeden tylko śmiałek lwowski poważył się w *Czasie* powątpiewać o bezwarunkowej doskonałości odczytów pani Dobieszewskiej, i otrzymał za to przykrą naukę. Pani Dobieszewska bowiem nie lubi opozycji takiej.

To też w ostatniej prelekcji swojej poświęciła cały ustęp nieszczęśliwemu korespondentowi *Czasu* i niemilosiernie go schłostała. Była tam mowa o niekzemności, tchórzostwie i innych epitetach, które rzucone ex cathedra i do tego przez kobietę sprawiają niemiłe wrażenie. Korespondent zdobył się także na odpowiedź nie bardzo pobłażliwą, bo przyznając że kobiety mają prawo do większej pobłażliwości niż mężczyźni, przypomniał przytem pani Dobieszewskiej że i kobietę przekraczającą granice przyzwoitości można poskromić. Są to słowa korespondenta, bez żadnych dodatków z mej strony. Jako sprawozdawca bardzo tchórzliwego serca, podaję tylko przedmiotowy opis zajść, niewdając się w ich ocenienie, za które może przyszłoby mi doznać losu korespondenta *Czasu*.

Br. E.

URYWKI Z PODRÓŻY

PO STYRJI

PRZEZ

Tadeusza Jerzego Steckiego.

w roku 1870 odbytej.

II.

Zamki Brunsee i Weinburg posiadłości hr. Chamborda — Kilka słów o przeszłości tych zamków. Opis Burbońskich zabytków i pamiątek w Brunsee. Charakterystyka księżnej Berry i ostatnie lata jej życia. Pobyt w Styrii.

Wyjeżdżając z Murku — ujrzelismy na lewo od Gleichenbergskiej drogi bastjony i wieżyce, dwóch nieopodal od siebie leżących zamków. Oba jakieśmy się dowiedzieli były własnością hr. Chambord, ostatniego Burbona, pretendenta do tronu francuzkiego, czyli domniemanego Henryka V, który stale rezydując w Frohsdorf pod Wiedniem, zjeżdża tu jednak od czasu do czasu. Jeden z tych zamków *Brunsee* leży na obszernej równinie, drugi *Weinburg* więcej obronny, zbudowany na stromej górze, otoczony wysokim wałem, dominuje nad całą okolicą.

Tą razą zwykła nasza ciekawość podwoiła się, dowiedziawszy się o nazwisku właściciela. Chcieliśmy zbliżyć się do tego miejsca, prawie historyczne, w którym niefortunny potomek upadłej dynastji, zagrzebał swe nadzieje: gdzie złamana burzami politycznego żywota jego matka, księżna Berry, schroniwszy się, lat kilkadziesiąt przemieszkała, gdzie tej wiosny dopiero w ciszy i spokoju zakończyła życie pełne trosk i zawodów, pochowana w skromnym grobowcu sąsiedniego parafialnego kościółka w Murku. Zamek w Brunsee brzydki, ciężki czworobok z wieżą na środku, położony wśród bagien, pozbawiony widoków na okolicę, był jednakże od lat wielu siedzibą księżnej i jej rodziny, gdy sąsiedni piękniejszy oddawna wydzierzawiony, stoi pustką.

Oba te zamki leżały w bok od naszej drogi, najawszyszy więc pierwszy powóz na jaki natrafilismy, ruszyliśmy do Brunsee.

Najdawniejszemi posiadaczami tego zamku i otaczających go winnic, byli panowie von Aspach. Ostatnia tego imienia dziedziczka, Gertruda, umierając w 1566 roku, zapisała tę majątność mężowi, Kasprovi von Khünburg. Przeszło lat dwieście pozostawał zamek Brunsee w rodzie Khünburgów — W 1728 r. kupił go od tej rodziny hr. Karol Breuner po jego śmierci w lat kilka Zygmunt-Rudolf von Wagensberg. W 1762 r. zamek ten był własnością hr. Rozalji von Trautmansdorf z domu hr. Saurau — od hrabiów Saurau przeszedł do Wimpffenów — i ci byli przedostatniemi jego dziedzicami. W 1837 r. dopiero Księżna Berry, rzuciwszy piękną swoją ojczyznę, łzami oblaną, rzekłszy się ambitnych swych na przyszłość nadziei, poślubiwszy narzeczenie bogatego Włocha hr. Hektora Luchesi-Palli, księcia della Grazia, za mężowskie pieniądze kupiła ten zamek na własność i wraz z nim zamieszkała w tej cichej ustroni. Tu w pięknej Styrii, wśród jej gajów, ogrodów i winnic, odpoczęła po życiu pełnem burz i zawodów, usiłując zapomnieć zimne mury francuzkich więzień, w których długo trzymaną była i niewdzięcznych rodaków, którzy podwoje jej tak pięknych królewskich pałaców sprofanowali, otwierając je korykańskiemu władcy. Zład patrzyła smutnie wielka pani na zmienne koleje swęj ojczyzny i tronu swych przodków, na wskrzeszenie monarchji i jej powrotny upadek, na młode Cesarstwo i na gwiazdę która mu tak długo przyświecała. Ale tu ją nie zostawiono w spokoju, i tu usiłowano zamącić słodycze rodzinnego i już całkiem prywatnego życia. Dumna choć upadła rodzina i rozpierzehl przyjaciele z przedmieścia St. Germain, mieli jej za złe, powrotny związek z prywatną włoską rodziną, a te niechętnie odgłosy echo z za gór aż tu jej donosiło. Księżna jednak była szczęśliwą — Księża della Grazia, na którego sypały pociski francuzkie legitymistowskie dzienniki, był najpoczeiwszym z ludzi, czułym małżonkiem i ojcem i szanowano go powszechnie w Styrii. Umarł w Brunsee 1go Kwietni 1864 roku, pozostawiając z małżeństwa z księżną Berry trzy córki i syna. Po śmierci księcia pokazało się, że na utrzymanie jakkolwiek cichej i ustronnej, ale zawsze królewskiej okazałości, którą księżna w Brunsee otaczać się lubiła, poszła cała jej fortuna we Włoszech w okolicach Palermo położona, nawet Brunsee wielkimi długami obarczone okazało się. Wtedy to pretendent hrabia Chambord, ochraniając sławę i spokój matki z którą nie widywał się od dawna, pospłacał długi, nabył na własność zamki Brunsee i Weinburg i te jej w dożywotnie oddał władanie. Spokojna już i nie dręczona temi małostkami prywatnego życia, księżna oddała się dewocji, otoczyła się wnukami z drugiego małżeństwa i już do śmierci nie wydalala się z Brunsee. Pretendent nie przybył wprawdzie wcale na pogrzeb matki, ale przyrodniego brata pozostawił przy władaniu zamków, ograniczając się sam na prawach tytularnego tylko dziedzictwa.

Oto dzieje cichego Brunsee i jego mieszkańców, a teraz chodźmy przypatrzeć się zgromadzonemu w tym zamku pamiątkom, królewskiej wygnańczej rodziny.

Księża della Grazia kupiwszy zamek tutejszy, dźwignął go prawie na nowo, upiększył i przyozdobił gustownie. Poosuszano tu najprzód błota, które go dokoła otaczały, obszerny staro-niemiecki park ukwefiono w strzyżone szpalery, na wzór Wersalskich, do nagich ścian zamkowych pododawano galerje i wendy w kwiaty i powoje przyozdobione, jednym słowem pełen galanterji Włoch nie zaniedbał nic coby po- byt tutaj jego królewskiej małżonce uprzyjemnić mogło, a stare zamczysko pod temi ozdobami ukryto

ciężkie i brzydkie swe kształty. Z zamku Rosny, dawniej posiadłości księżnej Berry we Francji, sprowadzono tu wszystkie kosztowniejsze obrazy, dzieła sztuki i pamiątki, z których każda jest dawnych lepszych czasów wspomnieniem. Fraszek i cacek jest tutaj tak wiele, że się zaledwie obrócić można w niewielkich zamkowych pokojach.

W wysokiej dwupiętrowej sieni zamkowej, której ściany ubrane malowidłami al fresco i wielkich rozmiarów portretami familijnymi, wspaniałe schody z białego marmuru w różowe centki, prowadzą do apartamentów pierwszego i drugiego piętra. Na pierwszym piętrze w 18-tu pokojach, mających kaplicę po środku, mieszka obecnie młody książę, brat przyrodni pretendent z rodziną. Nad drzwiami wchodowymi jakiś napis łaciński w marmurze, a po obu stronach trofea z starożytniej broni ułożone, hełmy, dzidy, tarcze i misurki. Ponieważ pokoje są tu numerowane, porządkiem więc zwiedzać je będziemy. W 3-tym znajdujemy piękną kopię Bourharta, ze sławnego Tycjanowskiego Wniebowzięcia N. Panny, w Weneckiej akademii Sztuk pięknych znajdującego się. W następnym pokoju (N. 4ty) wśród mnóstwa drobnych cacek, zwracają szczególniej uwagę, stare brązowe Pompejańskie naczynia, dzbany, misy i urny, ofiarowane przez króla Ferdynanda II księżnie Berry, śliczna główka Jowisza z białego marmuru i brązowe popiersie Karola X. Z malowideł, portrety zmarłej księżny Parmeńskiej (Mademoiselle) Bourharta i księżnej Berry, kiedy jeszcze panną była, Lacomia, nareszcie jakiś pejzaż olejny przez księżnę robiony.

W pokoju N. 5: portrety Franciszka I i cesarżowej Marji-Teressy i dwie piękne kopje z obrazów: Paris Bordone rybaka oddającego doży pierścień św. Marka i Pawła Veronése Wieczerzy Chrystusa w domu Lewity.

W numerze szóstym. Portrety hr. Chamborda i księżnej Parmeńskiej na jednym płótnie, Dubois Drahonneta i księżnej Berry Lawrence'a, a także śliczny obraz Abbatięgo: widok pałacu Vendramin własności księżnej w Wenecji, oświetlony światłem księżycy.

W numerze siódmym jeszcze jedna Tycjanowska Assunta Bourharta i Zwiastowanie N. Panny jakiegoś niewiadomego malarza.

Dalszych pokoi od 8 do 18, sypialnych, dziecinnych i służby zajętych przez księstwa, nie pokazują podróżnym zwiedzającym zamek, za to w tym rzędzie oglądać można kaplicę posiadającą piękne obrazy. W wielkim ołtarzu św. Izidor Rossiego, w bocznych na prawo M. B. Bolesna, na lewo S. Rozalja Luata. W zakrystji prócz ornatów i kap szytych ręką pobożnej księżnej, pokazują ciekawy autograf, testament Ludwika XVI i kilka listów Marji-Antoiny, także portrety ich obojga robione z natury.

Drugie piętro składa się z małych niskich pokoi, urządzonych wszakże z przepychem. Te bowiem właściwie były zajmowane przez księżną i jej męża. Wszystko tu dla pamiątki pozostawiono na miejscu jak było za ich życia. Szereg ich rozpoczyna sala jadalna, w której na półkach i w szafkach rozstawiony piękny zbiór chiński i japoński porcelany, wspanialszy i liczniejszy od Wilanowskiego w pałacu Potockich. Są tu także piękne srebra z herbami Burbonów — ostatnie królewskie zabytki, ocalale pomimo upadku i nędzy, która tu od czasu do czasu zacierają. Z obrazów w tej sali najpiękniejsze są cztery płótna Abbatięgo: Dwie sceny klasztorne kapucynów w Palermo, Grota Posylipy pod Neapolem i wewnątrz kościoła św. Marka, dalej ciekawy treścią i pięknym jako malowidło Lippariniego Portret Markosa Bozzaris, sławnego wodza Suljotów, poległego w Grecji w walce za wolność w 1823 roku i portret księżnej Berry, przez panią Le Brun robiony. Po rogach sali, brązowe popiersie Karola X i statua w całej postawie Pretendentą w huzarskim stroju.

Ztąd wchodzi się do niewielkiego pokoju bilardowego, którego meble i całe ubranie począwszy od prześlicznego obicia, chińskie. W szafach mnóstwo statuetek, tych znanych Magots, poruszających się i kłaniających na ścianach, niewielkie obrazy zaszkłone, zabytki sztuki malarskiej w państwie Niebieskim, po stołach i kątach także wachlarze i ekran i jeszcze porcelana. Trzeci z kolei pokój ubrany cudownej roboty meblami i sprzętami w stylu roco-

co, stoły, szafy, fotele drzwi i ramy w oknach wszystko tu dębowe, rzeźbione, charakterystycznie staroświeckie. Na ścianach obrazy z zamku Rosny wszystkie szkół włoskich, a w jednym rogu przy oknie, cacko misternej złotniczej roboty, arcydzieło w swoim rodzaju i historyczna z resztą pamiątka. Jest to srebrny okręt, z masztami linami, żaglami, słowem z kompletnem urządzeniem, 3 1/2 stóp długi 1 1/2 szeroki i 3 stopy wysokości mający, dający się we wszystkich swych częściach rozebrać. To piękne cacko ofiarowane było niegdyś w darze od miasta Paryża, małemu księciu Bordeaux, domniemanemu następcy tronu.

W czwartym pokoju zawieszonym od góry do dołu obrazami, zebrane same tylko oryginalne płótna. Z tych przedniejsze są cztery niewielkie obrazki Cunalettego, S. Jan Monrealesa, Trzej królowie i Chrystus na krzyżu Alberta Dürera, Madonna Andrea del Sarto, św. Magdalena Karola Dolce, jakas bitwa Salvatora Rosy, parę pejzażów Claude-Lorraina a nad drzwiami dwa obrazy bitew Borgognona.

W piątym pokoju *Gotyckim* przewanym i w całym swem urządzeniu ten styl reprezentującym, firanki, dywany, pokrycia na stołach i krzesłach, włóczkami haftowane ręką księżnej. Z obrazów godniejszej uwagi, są dwie bitwy Salvatora Rosy, kopja Rafaelowskiej Fornariny z pałacu Barberinich w Rzymie i widok zamku Rosny. Z pamiątek pokazują tu dzban i szczypee, niegdyś własność jakiegoś doży i srebrnego morskiego raka filigranowej roboty.

W szóstej sali mieści się biblioteka z siedmiu tysięcy tomów złożona, z herbami Burbonów na książkach, które po większej części beletrystycznej są treści. Znaleźliśmy jednak Diderota kompletną edycję klasyków łacińskich i wspaniałe atlasy starożytne, także ciekawy zbiór autografów Henryka IV-go.

Za biblioteką trzy niewielkie pokoje wesole, z oknami na ogród składały apartament księżnej Berry, sypialnią i dwa gabinety. Biedna wygnanka do tej swój ustroni ściągnęła wszystkie drobne fraszki i rodzinne pamiątki, które otoczona w ostatnich latach życia myślą unosiła się w dawny świat swój, oddychała świetnej przeszłości wspomnieniem. Z rozrzewnieniem patrzyliśmy na te drobne kobiece graciki, na których tak niedawno jeszcze spoczywała ręka właścicielki; zdawało się nam że jeszcze widzimy na nich ślady świeżych łez których wiele zapewne spłynąć tu musiało. Księżna Berry była kobietą, serca, rzewną, tkliwą częstokroć, wszystkie te przymioty tak zresztą zwyczajne w każdej kobiecie, mniej zwyczajnymi wydad się jednak muszą w sferze, jaka ją od kolebki otaczała, na stanowisku jaki zajmowała w świecie, a nawet, jak to mamy historyczne świadectwa, w całej rodzinie ówczesnych Burbonów. Te przymioty, były jednak główną cechą jej charakteru nie tylko w nieszczęściu, które częstokroć wyradza czołość, ale w dniach nawet jej królewskiego blasku. Taką malują ją nam historyczne pamiątki, taką widzimy ją w głuchej Styryji na cichym jej zamku w Brunsee. A przyznajemy żeśmy z ciekawością śledzili za tymi szczegółami jej żywota.

Okoliczni włóścianie tutejsi, którym niejednokrotnie przychodziła w pomoc, to datkiem pieniężnym, tu radą lub przestroga, z którymi kaleczoną niemczyzną długo, poufale nieraz rozmawiać lubiła, z rozrzewnieniem zachowują jej pamięć, to też najpiękniejszym bodaj z jej godności i tytułów jest przydomek: „der guten barmherzigen Herzogin” jaki jej w okolicy Brunsee pozostał.

Wracamy do apartamentu księżnej. W pierwszym pokoju stoi biurko przy którym pisywała zwykle. Nic na nim nie ruszono, papier, przybory piśmienne wszystko pozostało. Tu zapewne poczęte zostały, znane jej *Pamiętniki*, Sciana nad tym biurkiem zawieszona drobnymi medaljonowemi, minjaturami członków francuzkiej królewskiej rodziny, przyjaciel i domowników tej upadłej dynastji, śliczna kolekcja samych historycznych z tej epoki postaci. Są tu i większe olejne obrazy w tym pokoju, same prawie familijne portrety: Henryk IV w rozmaitych postaciach, matka księżnej Marja-Klementyna córka Leopolda II, akwarela wyobrażająca pałac Vendramin w Wenecji i dwie piękne roboty Nerlego, na jednej wewnątrz pokoju w którym księżna przyszła na świat w pałacu Caserta pod Neapolem, na drugiej widok

wyspy św. Heleny posiadłości księżnej w Wenecji. Przyległy pokój sypialny, całkiem inne niż poprzedzające robi na wchodzącym wrażenie, bo też gdyby nie ogromne pod baldachimem gobelinami na atlasie szystemi okryte łoża, raczejby go za kaplicę niż za sypialnię wziąć można. Na ścianach stare, przepyszne na złocistej skórze angielskie obicie, meble poważne, czarne dębowe, wybornie do niego zastosowane a na ścianach, na szafkach i na stolikach taka moc świętych obrazów, obrazków, krzyżów i relikwiarzy, że duży kościół ubraćby niemi można. Mniej tego wszystkiego zapewne w Watykańskiej papieżkiej sypialni być musi, bo też podobno kilku papieży składało się na te święte dary tutejsze. Najpiękniejszą z tego jest św. Genowefa z karraryjskiego marmuru, robota jakiejś panny Faveau z Florencji. Z obrazów nie świętych, znajdujemy tu tylko dwa płótna roboty samej księżnej, jedno wewnątrz jakiegoś klasztoru, drugie salon rodziców księcia della Grazia, przedstawiające.

Pokoje małżonków przedzielone tylko niewielkim salonikiem w którym jeszcze kilka pięknych mieści się obrazów: z tych trzy Bourharta: św. Judyta, św. Cecylja i portret na pied Grzegorza V, kopja Rafaelowskiego we Florencji, kilka obrazów Abbatięgo i duży portret księżnej.

W sypialnym książęcym pokoju portrety obojga jego rodziców, piękny obraz niewiadomego jakiegoś malarza, św. Filip Nercusz odmawiający przyjęcia ofiarowanego mu przez papieża kardynalskiego kapelusza i jeszcze portret księżnej — ciekawszy od innych w zamku będących, bo wyobrażający ją w więzieniu w Blaye w 1832 roku. Artysta schwyił na tym wizerunku wybornie wyraz boleści, zniekania zwątpienia w walce ze złamaną dumą, ale z dumą królewską pełną godności. Obraz przesłuszny i niezawodnie podobny do oryginału być musiał.

Za tym pokojem, jeszcze pokój już ostatni naprzeciw fajkarnią przewany, bo wszystko tu jest prócz fajek — broń turecka, piękny krucyfiks koronowy, nawet ów nóż historyczny, którym Louvel d. 13 Lutego 1820 roku zamordował księcia Berry przed gmachem opery w Paryżu.

Znużeni i likiem i rozmaitością nagromadzonych w tym zamku zabytków, wychodzimy nareszcie przez kurytarz na którym zapewne już dla braku miejsca w pokojach umieszczono dwie cudnej piękności dębowe rzeźbione szafy rococo, dar Marji-Teressy z pałacu Laksenburgskiego i dwa wielkie gobeliny, z wizerunkami na jednym Henryka IV zakutego w zbroi, na drugim Mademoiselle z Henrykiem V, którego tu wypadkiem czy z umysłu zawsze obok tego wielkiego przodka umieścić starano się. W każdym razie przedwczesne to może sąsiedztwo — a na miejscu... tylko w Brunsee.

W cieplarniach o kilka kroków tylko od zamku położonych, pokazywano nam osobliwść w swoim rodzaju, olbrzymie kameljowe drzewa. Ani równie wysokich, ani równie grubych w żadnym z Europejskich ogrodów widzieć nam się nie zdarzało. Z tamtąd, drożyna przez park, poszliśmy obejrzeć drugi zamek hr. Chamborda, Weinburg, raczej naluować się pięknym widokiem z jego galerji. Zamek bowiem wewnątrz pusty i ogołcony oddawna. Tu nas zastanowiły wspaniałe, przestronne, widne lochy podzamkowe w skale wykute. Służyły one niegdyś za więzienia, dziś przechowują w nich beczki z winem, których dostarczają rozległe dokoła zamku winnice. Kosztowaliśmy te burbońskie wino i przyznajemy, żeśmy się niespodziewali w Styryji spotkać z tak dobrimi. Uprzejmy rządca ofiarował nam co miał najlepszego, starsze przypominają smakiem węgierski masłacz, który wprawdzie niedaleko już ztąd de facto produkuje się. Z kilkonastoletniej beczki, zadowoleni ze spędzonego dnia, wychyliłmy spory kielich... za zdrowie dostojnego właściciela. Henryka Vgo.

KORESPONDENCJA.

Pani Marji J. Powieść: Różne różności zupełnie wyczerpnięta. W Redakcji znajduje się tylko kopie-jek 37 i pół.

Panu A. W. Słownik Rusko-Polski kosztuje rs. 4. Oplata pocztowa 50 kop.

Redaktor J. K. Gregorowicz.

PAMIĘTNIK WACŁAWY

ZE WSPOMNIENIEM MŁODEJ PANNY

ułożony przez

Elizę Orzeszkową.

(Dalszy ciąg.)

— Jakże wypiękniałaś, lube dziecię, mówiła a okropny jój uśmiech nie opuszczał ją ani na chwilę; lecz myślę się, nie wypiękniałaś bo zawsze byłaś piękną, ale stałaś się teraz jeszcze piękniejszą! Co za świetność cery! jaka pewność siebie w spojrzeniu! jaka bogata harmonja kształtów! Zachwycasz mię moja duszko. Tu pochyliła się do mnie tak jakby mię chciała pocałować, ale nie wiem czy jakąś pozostałością dzieciństwa, czy mimowolnym wstętem dla téj kobiety zdjęta, doświadczyłam na mginie oka prawdziwie fizycznego przestachu. Przemknęło we mnie takie poczucie, jakbym miała być ukąszoną przez te śniegowe białe zęby, co tak uprzejmie pochylały się do méj twarzy. To też pod pozorem poprawienia sukni uchyliłam się nieznacznie, a pani Rudolfowa bynajmniej tem nie zdetonowana, potrząsała ciągle mą ręką z niewymowną serdecznością i mówiła dalej:

— Prawdziwie nie umiem ci drogie dziecię wyrazić mojej wdzięczności za to, że powzięłaś miły zamiar odwiedzenia mnie i Rozalji, bo jak mniemam przy naprzężonych stosunkach, boję się doprawdy użyć bolesnego wyrażenia, któreby może jednak lepiej rzecz określało, przy zerwanych stosunkach pomiędzy twoją najlepszą matką a babcią Hortensją, wizyta twoja nie ma naturalnie na celu téj ostatniej.. z niewymowną więc uciechą biorę ją na rachunek mój i Rozalji....

— Przeciwnie pani, przerwałam spokojnie lecz stanowczo, przybycie moje do Rodowa głównie i prawie jedynie ma na celu zobaczenie się z babcią Hortensją...

— Czy być może? zawołała pani Rudolfowa z najgłębszym zdziwieniem składając swoje pulchne ręce, czy być może abyś sądziła drogie dziecię, że babka zechce widzieć się z tobą po tem wszystkiem, co zaszło pomiędzy nią a wami?

— Tak sądziłam i tak sędzę, bo jestem przekonana że babka moja nie pozbawioną jest zmysłu sprawiedliwości i sama już oddawna uczuć musiała, że jeśli matka moja nie chciała wydać mię za człowieka który mię nie kochał i liczył tylko na mój domniemany posag, postępek ten jój zgadzał się zupełnie z sumieniem i tak zrozumiła każdą matce miłością macierzyńską...

— Nie każdej! zabrzmiał metalicznym wymówionym głosem wyraz, w stronie w której siedziała Rozalja. Zwróciłam ku niej głowę, ale zobaczyłam ją siedzącą tak nieruchomie jak wprzódy ze spuszczonej oczami i spokojnem czołem. Pani Rudolfowa zdawała się nie słyszeć przerwy lub wcale na nią nie zważać, patrzyła na mnie z jednostajnym zawsze przymileniem i poruszała głową gestem pełnym pożałowania.

— Droga, ukochana Waciu, zaczęła, czyliż nie pojmujesz tego, że postępek twój matki pomimo że jak powiadasz zgadzał się z sumieniem i miłością macierzyńską, sprzeciwiał się woli babki Hortensji. A ona...

Wzniosła oczy z rodzajem głębokiej pobożności, wyciągnęła w górę palec tak jak ktoś co wspomina o Bogu lub świętych, zamieszkujących niebiosy i ciągnęła dalej:

— A ona chce aby wszyscy co ją otaczają posłuszni jój byli... ona co jest mądrością i opatrnością familji wymaga, aby familja odpłacała jej wielkie dobrodziejstwa czcią i uległością bez granic i otwarcie powiem ci kochanko, iż tak kocham, tak czezę babkę Hortensją że postępek twój matki wydawał mi się zawsze dziwacznym, nieroztropnym, niekonsekwentnym, słowem niezrozumiałym dla mnie...

— Bo bezinteresownym! zabrzmiał znowu głos w stronie w której siedziała Rozalja. Odwróciłam się znowu i zobaczyłam ją jak wprzódy nieruchomą, niemą i ze spuszczonej oczami. Pani Rudolfowa i na tę przerwę nie zwróciła najmniejszej uwagi, małe oczy jój zamigotały tylko żywiej i białe zęby z lekka przygryzły dolną wargę. Na ten sam temat co wprzódy, znowu zaczęła mówić zawsze uprzejmie, słodko i z przymileniem patrząc na mnie. Ale mnie niewymowna zdjęta odraza do słuchania jój dalej, podniosłam się z kanapy i przerwałam jój mowę.

— Jeżeli matka moja postępkem swym tak dalece jak pani utrzymujesz, obraziła babkę Hortensją, uczyniła to przez miłość dla mnie... ja tu więc jestem główną winowajczynią bo dziś jeszcze wyznaję otwarcie, że dowiedziawszy się o usposobieniach dla mnie p. Agenora, nie chciałam go poślubić i wątpię abym to uczyniła wtedy nawet, jeśliby takim było żądanie mojej matki.. To też czując to, nie w swoim bynajmniej, ale w matki mojej interesie chciałam dziś widzieć babkę Hortensję i rozmówić się z nią.....

— Niepodobna, drogie dziecię, niepodobna! zawołała pani Rudolfowa, składając znowu ręce, ale tym razem z gestem nadzwyczajnego żalu. Bóg widzi jakbym pragnęła aby to stać się mogło, i aby święta zgoda przywróconą w familji została, boć przecie wiem dobrze i głęboko przenikniona jestem zasadą, że gdzie zgoda tam i błogosławieństwo Boże. Ale babka tak zażalona na was, tak rozgniewana na twoją matkę, tak źle do was obydwóch uprzedzona.. Nagadano jój o was różnych przykrych dla niej rzeczy, obmówiono was przed nią, a dziś jest nawet trochę słabą i gdyby cię zobaczyła, mogłaby zirytować się, zachorować..

— Albo dać się rozrzewnić i ująć! zabrzmiał znowu głos w stronie Rozalji.

— Zresztą ciągnęła p. Rudolfowa teraz jak pierwój niezważając na przerwę, zresztą o ezemżebyś miała mówić z nią moja duszko? O cobyś ją prosić mogła?

— Oto, odparłam żywo z trudnością mogąc pohamować się dłużej, oto co matce mojej słusznie należy się od jój ciotki, która głównie przyczyniła się do skrzywienia jój życia wychowaniem, jakie jój dała, a potem wpływami i namowami, rozłączając ją z moim Ojcem...

— Powoli, powoli kochane dziecię, przerwała

p. Rudolfowa z niezmaconą słodyczą i uprzejmością. Wspomniałaś zdaje mi się o wychowaniu; babka Hortensja dała je twojej matce świetne i prawdziwie światowe, a czyliż jój było już winą że matce twojej podobało się popełnić meallians i wyjść za człowieka, który przez swoje znowu wychowanie dla niej był niestosownym...

— Teraz, przerwałam zimno ale stanowczo, teraz na mnie kolej powiedzieć pani: powoli! mówisz pani o moim ojcu...

— Jaka piękna дума i wzniosła miłość córki dla ojca! zawołała z zachwytem składając ręce p. Rudolfowa. Ale powiedzże mi, jedyna kochanko, dla czego matka twoja ścigana krytycznemi okolicznościami o których coś słyszałam, niepojedna się z zycznym, uczonym swym mężem, który przecie jako profesor uniwersytetu musi tam jakąś dość przyzwoitą pobierać pensyjke...

Poczułam krew uderzającą mi do głowy.

— Pani, rzekłam, nie przyjechałam tu aby tłumaczyć przed nią familjne nasze sprawy, ale dla tego aby zobaczyć babkę moją, z którą mam do pomówienia. Racz mi zatem powiedzieć czy babka Hortensja zawiadomiona jest o mojem przybyciu i czy będę mogła ją widzieć?

— Niestety! drogie dziecię, pomimo wszelkich usiłowań moich, niemogłam wymódz na nią, aby się z tobą zabaczyć chciała. Zobaczyła cię nadjeżdżającą przez okno i wnet porzuciła swą ulubioną robotę, opuściła salon i zamykając się w swoim pokoju rzekła: przyjmujcie z Rozalją tę niewdzięcznicę, nie chcę wiedzieć ani jój ani jój matki!'

— Nie powiedziała tego! ozwał się znowu głos w stronie gdzie siedziała Rozalja, a tym razem już zachwiała się na chwilę niezmacona dotąd słodycz p. Rudolfowej. Oczy jój zaiskrzyły się i twarz zwróciła ku córce tak nieporuszonej i niemój, jakby wyrazy które w rozmowę naszą od chwili do chwili wrzucała, wychodziły z niej bez żadnego współdziałania jój woli. Nie wiem już jaka zaszłaby scena pomiędzy matką a córką, gdy w téj samej chwili w głębi domu, gdzieś o trzy lub cztery pokoje odlegle, zabrzmiał silnie pociągnięty przenikliwie brzmiający dzwonek. Na odgłos ten p. Rudolfowa żywiej jeszcze zwróciła się do córki!

— Rozaljo! zawołała, słyszysz? Babcia dzwoni! Pewnie czegoś potrzebuje, a ja nie mogę opuścić miłego naszego gościa...

— A więc są zapewne sługi które tam pójdą, wymówiła Rozalja nie zmieniając postawy.

— Rozaljo! zawołała jój matka głosem z którego odrazu zniknęła uprzednia słodycz, a na twarz jój wystąpił ciemny rumieniec gniewu.

Rozalja podniosła się zwolna i powolnym krokiem przechodziła salon; w połowie jego zatrzymała się jeszcze i niedbałym gestem poprawiła przed lustrem jeden z warkoczy, który w czasie rozmowy ze mną zbył się jój na ramię opuścić. Pani Rudolfowa ścigała ją iskrzącymi się i biegającymi oczyma.

— Rozaljo! wymówiła raz jeszcze z cicha ale dobitnie. Rozalja wrzuciła z lekka ramionami.

— No i cóż? idę przecie! wyrzekła tym samym co pierwój obojętnym tonem.

Potem przechodząc koło mnie skinęła mi głową i powoli opuściła salon.

Cięzko mi było, przykro, duszno, postanowiłam skończyć tę upokarzającą wizytę, która jak zaczyna-

łam się przekonywać, do niczego mię doprowadzić nie mogła.

— Więc utrzymujesz pani, zwróciłam się do p. Rudolfowej, że widzenie się z babką Hortensją jest dla mnie niepodobieństwem?

— Niestety! tak jest, drogie dziecię! odparła znowu ze słodyczą i głębokim żalem; babcia wyraźnie powiedziała, że nie chce cię widzieć i że tylko przez wzgląd na honor familji zezwala na to, aby matka twoja gdy utraci do reszty majątek co wkrótce jak słyszałam nastąpi, osiadła w Rodowie gdzie babcia ofiaruje jej dach gościnny i miejsce przy swym stole...

Zawrzałam cała i nie mogłam hamować dłużej mego oburzenia. Podniosłam głowę, utkwiałam w p. Rudolfowej spojrzenie pełne uczuć, które mię napęłniały i rzekłam:

— Matka moja ma córkę dorosłą i zdrową na ciebie i umyśle, nie przyjmie więc od nikogo jałmużny rzucanej dla honoru familji, bo byt swój w jej pracy a pociechę w jej sercu znajdzie. Racz pani powiedzieć babce Hortensji, że przyjechałam tu i pragnęłam ją widzieć bez żadnego w tem współudziału mej matki, owszem bez jej o tem wiedzy, że celem moim było przedewszystkiem pojednać osoby tak blisko z sobą spokrewnione i przedstawiwszy babce krytyczne majątkowe położenie mej matki, prosić ją nie o dar żaden, nie o jałmużnę ale o pożyczkę, o pomoc jakąś tymczasową, którą matka moja zwrócić by jej mogła w przyszłości. Skoro zaś jak pani utrzymujesz babka Hortensja jest dla nas nieprzystępną, cofam z ust i serca wyrazy jakimi miałam do niej przemówić, i oddalam się ztąd na zawsze zapewne a coprędzej, aby dłużej nie zabierać pani czasu, który tak budująco przepędzasz nad boską księgą, uczącą zaparcia się i miłości bliźniego...

Przy ostatnich wyrazach rzuciłam okiem na roztwarte na stole *Nasładowanie Chrystusa*.

Pani Rudolfowa zarumieniła się i oczy jej moćniej zabłyszczały, a ponieważ ukłoniwszy się obojętnie już odchodziłam, podbiegła do mnie ze złożonymi rękami.

— Waciu, duszko, drogie, lube dziecię, nie odchodź tak rozniewana! Ty może mnie posądzasz o jakie złe chęci przeciwko tobie i twój matce? Może myślisz że to ja tak szkodliwie dla was wpłynęłam na umysł babki Hortensji? Zmijuj się kochanie nie miej tak fałszywych uprzedzeń. Niech mi Bóg będzie świadkiem, przysięgam na szczęście moich dzieci, że robiłam wszystko co mogłam, aby skłonić babkę Hortensją do pojednania z twą matką, a dziś do zobaczenia się z tobą. Jestem tu ciągłym a gorliwym adwokatem waszym, rano i w wieczór modłę się do Boga, aby raczył zmiękczyć dla was serce babki i nawet na tę intencję zakupiłam śpiewaną mszę, przed cudownym obrazem w Rodowskim kościele.

Zatrzymałam się i patrzyłam na nią takim okiem, jakim nieraz w ogrodzie przyglądałam się śliskiej miękkiej, zielonkawatej jaszczurce, która pełzając wśród traw zdawała się je całować, a tymczasem rzucała na nie jadovitą swą ślinę.

— Pani, ozwałam się gdy skończyła, mogłabyś wybornie pozwolić sobie zadowolenia jakie przynosi szczerość. Nie jestem ani łatwowierną ani rozniewaną, ale mocno się brzydzę obłudą gorszą wedle mnie sto razy od występku, któremu służyć ma za osłonę.

Powiedziałam to zupełnie spokojnie i zimno, to też pani Rudolfowa zmieszkała się i opuściła słodko i pokornie złożone dotąd ręce. Chciała jednak mówić coś jeszcze, lecz przerwałam oświadczeniem, iż pragnęłabym widzieć się z babką Ludgardą.

Z jednakiem zawsze uśmiechem i niezmiernie uprzejmym gestem, wskazała mi drzwi prowadzące w głąb domu.

Dobrze znanym był mi dom ten i nie potrzebo wałam pytać tu nikogo o drogę. Ileż razy przed laty lekką stopą przebiegałam te wązkie, długie pokoje o podniesionych jak sklepienia sufitach, o licznych oknach wązkich a wysokich, o sprzętach z których surowego bogactwa i ciężkiego kształtu, długie dziesiątki lat przemawiały! Ileż rojeń moich, uśmiechów, drobnych łez zachwyty lub trwogi, skrapiających zwykle próg nieznanego życia, widziały te ściany pokryte obiciem surowej jednolitej barwy, lub w różnych kierunkach przerzuńnięte lampkami z dębowego i różanego drzewa o kunsztownej, mistrzowskimi rękami wykonanej rzeźbie!

Przypominałam sobie to wszystko przechodząc z wolna przez kilka pokojów, dzielących salon bawialny od pokoju babki Ludgardy, gdy nagle stanęłam i wlepiłam wzrok w obraz który mię uderzył.

Przedemną były drzwi wpółotwarte, a z za nich widniał obszerny pokój przybrany z poważnym a dumnym bogactwem, jakie cały dom cechowało. Na ciemno zielonych ścianach wisiały dwa wielkie w szerokie złote ramy objęte obrazy, z których jeden przedstawiał Madonnę z dzieciątkiem na ręku, a drugi Chrystusa rozpiętego na krzyżu. W głębi pokoju, pod jednym z obrazów tych stało szerokie łóżko błyszczące bielą, batystu i haftów. Ostonione było zieloną kotarą ciężką od złotych ozdób i naszyć, i utrzymywaną w górze dwiema wielkimi złotonemi gwiazdami. Pod obrazem przedstawiającym Madonnę, była długa, niska i obszerna ottomanka orzucona perską makatą, i okryta poduszkami we wschodnie wyszywana wzory, a na niej wsparta ramieniem o poduszki, nawpół leżała wyniosła postać kobieca, w długiej, ciężkiej sukni z czarnego jedwabiu, i białym koronkowym czepecu na całkiem prawie srebrnych włosach, w staranne nad skroniami ułożonych loki.

Była to babka Hortensja.

Cisza i samotność głęboka rozpościerała się w kołto niej w obszernym pokoju. Jedną ręką wspierała głowę, drugą opuściła pomiędzy fałdy sukni. Ręce te białe, z liljowemi żyłkami, z długimi i cienkimi palcami, jak dawniej wysuwały się z pod śnieżnych koronkowych mankietów, ale może dla tego że nie trzymały szczypek do frywolitków i kłębuszków z bawełną, wydawały mi się mniej sztywne, bardziej jakoś miękkie niżli je widywała kiedy. Twarz jej miała także inny nieco wyraz, duma i oschłość zawsze leżały na niej, ale z pod nich jak z zagęstj wprawdzie lecz zawsze ażurowej zasłony, przeglądało coś niby smutek, niby znudzenie albo żal za czemś, albo jeszcze pragnienie czegoś. Błada była i usta miała blade, zmarszczek mnóstwo orało jej czoło, a były one w tej chwili ruchome jakieś i krzyżowały się po czole na podobieństwo fal drobnych, burzących powierzchnię wody. Pwne, tak zimne, dumne i przenikliwe jej oczy, teraz nieruchome i na wpół przysłonięte drzącymi powiekami, tkwiły w aksamitnej poduszce kłęcznika, który pomiędzy łóżem a ottomanką dźwigał wielki krzyż srebrny i czarno oprawną bogatą księgę nabożną. Nie wiem czemu, ale wydało mi się że babka moja pośród bogactwa i dumy swojej, nie była szczęśliwą ani nawet spokojną.

Co więcej byłam prawie pewna, że w postawie jej pochylonej nieco na poduszki i w nagięciu głowy co się na dłoni wspierała, tkwił pewien niepochwytyny, a jednak uderzający odcień przygnębienia.

Stałam, patrzyłam i coraz więcej czułam się wzruszoną. Zapomniałam całkiem o charakterze i postę-

powaniu z nami babki Hortensji, a widziałam przed sobą tylko kobietę która bądź co bądź była opiekunką matki mej w jej sieroctwie, a co więcej istotą nieszczęśliwą co doszedłszy nad sam brzeg mogiły, głowę swą ujrzała przykrytą białym szronem starości, a prawdopodobnie ani razu w swem życiu nie zaznała tych wysokich i jedynych może na tej ziemi uciech, jakie człowiekowi przynosi gorące uczucie czystego serca, albo myśl wzniosła szersze obejmująca zakresy, niż świat osobistej pychy i samowoli. Czy być może, myślałam patrząc na nią, aby ta dumna wyniosła kobieta, stawała się mniej wyniosłą i dumną po za oczami ludzkimi, a w obecności tylko sumienia [własnego i krzyża, który może właśnie sumienie to w niej wyzywa? Czy być może, aby te falujące po czole bruzdy były obrazem myśli niespokojnie szamoczących się w jej głowie i pytających ją, co uczyniła z długiej przeszłości swojej? Czyliżby ta pochylona nieco postawa i głowa szukająca podpory na dłoni, wypieszczonej zbytkiem a zwiedłej od starości, oznaczać miała że twarda goszcząca w nich dotąd wola, uginać się też i podpory szukać zaczyna? Rzutem wyobraźni właściwym umysłem żywym, ujrzałam stojącą przy otomance na której spoczywała babka moja panią Rudolfową, i uwydatniłam przed sobą jej twarz energicznej śniadości a słodkawego wyrazu, jej postać zdającą wślizgiwać się we wnętrze człowieka do którego się zbliżała, jej usta niesmiertelnym otwarte uśmiechem i wyglądające również skłonnemi tak do pocałunku jak do ukąszenia. I wydało mi się, że widzę ją dumną, zadowoloną, pełzającą i nakazującą zarazem obok babki mojej, z postacją ugiętą i mnóstwem bruzd nad przegastmi oczami. Ha! czemużby nie? pomyślałam. Wszak pycha najłatwiej podbić się daje pokorą, a nędzny robak z wolna a długo czolgając się u stóp hardziej rośliny, owija, pochyla i łamie w końcu jej łodygę. Wszak w dziejach świata nawet widziano nieraz przykłady nizeziemnie pokornych i czolgających się niewolników, którzy misternym orężem pokory i nizeciemności wojując, stawali się rzeczywistymi władcami swych dumnych napozór i wielmożnych panów.

Było mgnienie oka w którym chciałam przeskoczyć próg dzielący mię od babki Hortensji, zapomniać o wszystkim, przykleknąć przed nią i do ust przycisnąć jej białą rękę. Ale pomiarkowałam się i nie uczyniłam tego; nie chciała mię widzieć byłoby więc z mojej strony niedelikatnością i zbytecznym uniżeniem się, gdybym przemocą prawie narzuciła jej moją obecność. Wreszcie, pomyślałam, że może to oczy moje mię mylą, może babka wydaje mi się inną niż zwykle i bardziej rzewne budzącą uczucia, dla tego że dotąd nigdy nie widziałam ją inaczej jak sztywnie z podniesioną głową, kroczącą przez salon, lub siedzącą na kanapie, wyprostowaną z kłębuszkiem bawełny w ręku. Odeszłam cicho i w kilka sekund potem otwierałam drzwi pokoju babki Ludgardy.

Tu nic się nie zmieniło. Zawsze czarny krucyfiks stał na kłęczniku, zawsze klatka z kanarkami wisiała przy oknie, a przed nią w fotelu głębokim, z dłońmi zaplecionemi na czarnej księdze ze srebrną kłamrą leżącą na jej kolanach, siedziała babka Ludgarda.

Gdy ujrzała mnie, blade jej usta okrzyknął uśmiech radości i wyciągnęła do mnie oba ramiona.

Czułość, dobroć i smutek były w jej oczach gdy patrzyła na mnie, ale oprócz kilku zwykłych słów jakie wyrzekła przy powitalnym uścisku, nie nie mówiła! Zdawało się że milczenie było jej stanem zwykłym i normalnym, z którego z trudnością wyjść jej przychodziło. Jak dawniej bywało, usiadłam na stołeczku na którym spoczywały jej stopy, splótłam

ręce na fałdach jęj czarnej sukni i z rzewnem lecz miłem uczuciem wpatrywałam się w twarz jęj bladej, pooraną, słabym tylko odbłyśkiem myśli rozświetloną, ale zalaną zato wyrazem nieskończonej łagodności i zrezygnowanej a wrosłej niejako w przegasłe źrenice tęsknoty. Patrzyła we mnie ciągle w milczeniu i zwolna przysuwała dłoń po moich włosach. Dziś jeszcze jestem pewna, że za pomocą wzroku starość jęj rozmawiała wtedy z moją młodością. Pierwsza widziała w drugiej obraz dawno poblakłej swęj przeszłości; druga czytała w pierwszej wróżby lat przyszłych i zagadki samotnej doli do jakiej się gotowała.

— Babcu, wymówiłam po długiej chwili milczenia, tak dawno cię nie widziałam? Jakże się mają twe ulubione kanarki? Czy znowu tak lubisz patrzeć na nie?

Skinęła głową w znak potwierdzający i z cicha wyrzekła:

— Te ptaszęta mię kochają!
W istocie niby w odpowiedź na to jęj słowo, jedno z ptasząt zatrzepotało w klatce i żywo zaświegotało. Pobudził je zapewne do tego różowy promień jesiennego słońca, pogodnie zachodzącego za czarną ścianę ogrodowych jodek. Promień słoneczny i świegot ptaszka ożywił nieco i rozweselił surowy i mroczny pokój; wtedy spostrzegłam w nim coś czego nigdy pierwój tu nie widziałam, wielki bukiet z różnobarwnych nieśmiertelników jedynych kwiatów które w porze tój kwitły jeszcze, postawiony na niewielkim stoliku o parę kroków od babki Ludgardy. Tenże stoliczek pokrywała niewielka serwetka wyszyta na kanwie, w wesołe wzory i żywymi barwami. Nagłym rzutem pamięci przypomniałam sobie, że we włosach Rozalji, widziałam dziś nieśmiertelniki bardzo podobne do tych, jakie zdobiły pokój męj babki, a na jednym ze stolików salonu stał koszyk pełen włóczek takich jakimi wyszyta była serwetka.

Babka Ludgarda pochyliła się i pocałowała mię w czoło.

— Widzisz, rzekła wyciągając palec w stronę zachodzącego słońca, dzień jesienny który się kończy to obraz dni moich... Za mną jak za tem słońcem, szary błękit... przede mną mogiła jak chmura... promienie mego słońca blade były... nikt mię nigdy nie kochał..

Boże mój! pomyślałam, jakąż wielką być musi tęsknota tój samotnej duszy, skoro starość i myśl o mogile zdeptać jęj nie może!

— Słuchaj! mówiła dalej babka a dłoń jęj miętko leżała na mojej głowie, ty młodością swą i przezroczyłem spojrzeniem budzisz mię zawsze... Patrzę na ciebie i myślę, że byłam kiedyś taką samą... i nie wiem czemu chce mi się usta otworzyć i mówić o tem... Zwyczajnie trzymam je zamknięte i powieki najczęściej zamykam, aby nad brzegiem grobu przysnąć o kolebce... żal mi że kończę życie... dlaczego? Może dlatego że mię nikt nigdy nie kochał oprócz tych żółtych ptasząt w klatce i dawno... dawno kogoś jeszcze, kogo prędko... bardzo prędko odepchnięto ode mnie...

Myślałam jak smutne muszą być dzieje tój duszy na wieczną skazanęj żalność. Zapraęnęłam je poznać i zapytałam pocichu:

— Któż to był, babciu? i kto go od ciebie odepchnął? Przeciąęnęła rękę po czole.

— Nie pomnę dobrze, dziecię, odrzekła. Pamiętam tylko jeden ranek letni .. różę w ogrodzie... parę błękitnych jak niebo oczów... kilka słów które mi na serce upadły po których nigdy już potem nawet klęczęc przed krucyfiksem zupełnie zapomniać nie mogłam. Potem była tam siostra moja... wszyst-

ko zniknęło... życie płynęło, długo... zawsze byłam jedna.. postarzałam i nigdy mię już nikt nie kochał. Umilkła, podniosłszy oczy utkwiała je w klatkę i zapadła w zwykłe sobie milczące zamyślenie.

Słyszałam na dziedzińcu parskające z niecierpliwości konie moje, to mi przypomniło że za długo już może zostaje w tym domu niegościnnym dla mnie. Schyliłam się i ze słowami pożegnania całowałam ręce i kolana babki Ludgardy. To życie złamane, ta słodycz prawdziwa, to serce nie mogące przy końcu życia nawet pozbyć się żalów swoich, wzbudzały we mnie miłość z czcią połączoną.

Obie dłonie położyła na mojej głowie i rzekła cicho.

— Błogosławię cię.... dziecko.... bądź szczęśliwszą odemnie...

Przechodziłam milczące salony nigdzie nie spotykając nikogo z domowych. Drzwi od pokoju babki Hortensji były już zamknięte i posłyszałam za niemi połączone głosy jęj i pani Rudolfowej. Nie chcąc wypadkiem nawet stać się winną podsłuchania rozmowy osób, które tyle miały powodów nie życzyć sobie abym je słyszała, szybko przebyłam resztę pokojów i po chwili wsiadłam do kabrioletu. Kiedy mijalam dom raz jeszcze rzuciłam spojrzenie na okno pokoju babki Ludgardy. Za białą firanką rysowała się smukła i gibka kibić Rozalji. Nie wiem czy się nie myliłam, ale wydało mi się że wkładała do porcelanowego kubka stojącego na małym stolczku świeży bukiet nieśmiertelników. Może i ona, pomyślałam sobie, patrząc na babkę Ludgardę, czyta w niej wróżby i zagadki swęj własnej przyszłości i stroi biedna ostatnie dni jęj w kwiaty i barwy skrycie pragnąc, aby ktoś kiedyś po latach długich, tak samo kwiatem zerwanym w zielonym ogrodzie orzeźwił w mogilę patrzące jęj oko.

Jak smutny ten dom Rodowski! Więcej w nim jeszcze zmroku jak bogactw i tyle tam nawet jego, że trzeba się chyba dobrze przyjrzeć by módz dojrzeć bogactwo.

Jak smutny także i ten świat Boży! Więcej w nim cieniów jak światła, a pierwszych tak nawet wiele, że bardzo czyste trzeba mieć oko, by módz ostatnie dojrzeć i uwielbić.

Zwolna jadąc gładką drogą zamyśliłam się a noc jesienna zapadła ciemna w górze, szara w dole, o kilku zaledwie gwiazdach świecących na czarnem sklepieniu zapłakanymi wilgotną mgłą oczami.

Przedę mną niby sine i czerwone płomyki rojami latały w ciemnościach ludzkiej niedoli, występki, bóleści o których niestety, dobrze już wiedziałam... Czarowne chwile ułud i zachwyków, godziny marzeń skrapiane rozkosznymi łzami rwącej się do życia nadziei, nieświadomość dziecięca tak zbliżona granicząca ze szczęściem, jakiego w niebie doświadczać muszą Anieli, daleko już za mną zostały. Na ich miejscu stała przede mną surowa i smutnooka wiedza. Przez ciało jęj przezroczyłem widziałam gorejących aż pod niebo stos złamanych i uwiędłych w nieszczęściu serc ludzkich i brzydki czarny szkielec olbrzyma, który dzwonił piszczelami występku i błędów, nagość swą przykrywał jaszczurczym płaszczem obfudy i po pas zapadły w otchłań, czołem wykutym z nieśmiertelnego glazu, wygrażał gwiazdom które płakały patrząc nań...

Doświadczyłam jednego z tych strasznych zwątpień które wstrząsają niekiedy duszami najlepiej nawet ugruntowanymi w swęj posiadzie. Wydało mi się, że jęki wychodzące z gorejącego stosa złamanych serc ludzkich, są wyrazem przeznaczeń ludzkości i że czarny olbrzym miota przekleństwa na które niebo mileży, bo nie wie coby mu odpowiedzieć ..

Przelekła myśl zwróciłam ku sobie.. czy i moje serce stanie się jedną z podpał, rozniecających stos

wieczyste gorejący ludzkim cierpieniem? Wiara w dobro na ziemi i ufność w siłę męj duszy wywiezione z cichych progów ojcowskich, opuściły mię na chwilę, zlekłam się przyszłości...

Dwadzieścia dwa lata miałam. Kilka lat jeszcze a młodość moja zapadnie w otchłań czasu jak kropla dżdzu niknie w oceanu głębinach. I cóż potem? Obowiązek i praca, praca i obowiązek.. a dla uderzeń serca mego, a dla porywów wyobraźni, dla spokoju ostatnich dni starości nie? I może kiedyś po mnogich latach spłynionych z siwymi włosami i pooranem czołem, usiądę jak babka Ludgarda sama jedna i przez nikogo niekochana, naprzeciw okna o migocącym błękitnym nieba kawałku, i patrzeć będę jak w klatce zamknięte trzepocą się ptaszki i z pamięci mojej wyjdą szeregiem mary tęsknot a żalów, i duszę mą do lepszego rwącą się życia zatrzymają pomiędzy niebem a ziemią, na skrzydle nie przepłakanych nigdy bóleści? Ta sama myśl powstała w męj głowie kiedyś, gdy byłam jeszcze młodziuchną, świeżą, bogatą i radośną dziewczętką. Ona mię nachodziła niekiedy i wówczas, gdy przy boku ojca mego dusza moja z rozkoszą piła ze źródła zdrowego spokoju i wiedzy, ona przyszła do mnie i teraz, kiedy miałam wejść na drogę zaparcia się i obowiązku.

Sąż dla ludzi pewne ideje i obrazy, które w różnych dobach życia, powtarzają się w ich umyśle, jak motyw muzyczny co od chwili do chwili przebrzmiewa z za fal splełanych tonów melodji? I czy w tój znikającej i wracającej zwrotce myśli, tkwi wyraz przeznaczeń człowieka, słowo rozwiązujące zagadkę jego życia?

Podniosłam oczy tak jakbym przez nie odesłać chciała zapłakanym gwiazdom zwrotkę myśli mojej, która mię trwożyła i naprzeciw siebie na wzgórze do którego zbliżał się mój powóz, zobaczyłam śród szarej warstwy nocnej, rysującą się ciemniejszą od niej masę wielkiego dworu i kilka żywo błyszczących w łonie jęj światła.

Poznałam dwór hrabiego Witolda. Pośrodku wznosząca się wielka masa mieszkalnego domu ciemna była zupełnie, znać było że pan dworu daleko ztąd przebywał. Żywe światła wesoło na ciemnym tle gorejące, wychodziły z obszernych officyn i rozsianych wkoło pomiędzy ogrodami zgrabnych i licznych domków kolonistów. Zdała już przez szybę okien rozpoznać można było czyste białe światło skromnych zapewne lamp oświetlających pokoje sług i oficjalistów, i czerwony blask ognia buchający w kominach i piecowiskach mieszkań robotników, rozrzuconych po brzegach wzgórze i doliny. Z obu stron czerniała przestrzeń, jednostajna, poępną nocą jesienną, owiana wichrami, ze szmerem i poświstem sunącemi po dolinie, tylko ten jeden dwór stary i wielki, wydawał się oazą życia i spokoju pośród rozłogu milczenia i wicherów, i migotał światłami zdającemi się żartobliwie uragać otaczającym ciemnościom. Konie moje po nierównej wzgórzystej drodze postępowały zwolna, a ja zwrócona twarzą ku ożywionemu wzgórze, wyobrażałam sobie wesołe rodziny siedzące w koło tych buchających przez liczne okna ognisk czerwonych, i gwarzące spokojnie po dniu pracy o jutrze tak cichem i miłem jak całe to miejsce zda się okryte błogosławieństwem Bożem. Niby w odpowiedź na te rojenia wyobraźni mojej, z jednego z przytulnych domków najbliższej drogi położonych, podniosło się kilka głosów kobiecych świeżych i zanuciło chórem wiejską piosenkę.

I któż mi powie dla czego w myśl mą wzburzoną przed chwilą, wstąpiła cisza i pogoda, a serce strwożone zaczęło znowu uderzać równo i spokojnie? Kto mi powie, dla czego przed oczami ducha mego sta-

ngła znówu postać hr. Witolda takim samym dla mnie jak dawniej okryta urokiem? Myślałam, że już byłam zapomniawsza o tem dziecinnym marzeniu lat dawnych, i że wraz z wielu innymi rojeniami frunęło w niepowrotny kraj przeszłości.... Przekonałam się że tak nie było... Czyliżby w tem co zwałam dziecinnym rojeniem, spoczywał zaczątek prawdziwego uczucia nierozwinięty, ale też i nieślimiony czasem? Czyliżby ten dwór modrzewiowy i postać jego właściciela, stanowiły także jedną z tych zwrotek, mających jak motyw muzyczny, przebrzmiewać od czasu do czasu przez całe pasmo dni moich? Któż mi powie, pomyślałam, czy w tej to właśnie miłej i radosnej, czy w tamtej drugiej smutnej i ciemnej w zwiędła postać babki Ludgardy wcielonej, zwrotu myśli moich, tkwi wyraz moich przeznaczeń i słowo mające kiedyś rozwiązać zagadkę mego życia?

V.

Ktokolwiek kiedy widział dom bogaty niegdyś a popadający w ruinę, łatwo mógł spostrzedz wyłączne cechy jakie w nim zwykle panują. Ściany mają tak jak ożywione przedmioty porę zamierania. Na pozór stoją zda się całe i mocne, ale przypatrz się a ujrzysz tu i owdzie plamy wilgoci, których dawniej nie było, szare pasy jakiejś pleśni i kurzawy nie wiedzieć z kąd powstałej; kąty pokoiów wprzód ciepłe i przytulne wyglądają sztywnie i zimno, nad dachem kominy czernieją, z fundamentów jeden po drugim wypadają kamienie i tynk białym szronem osypuje podnoże budynku. Wewnątrz w wielkich pokojach stoją rzadkie sprzęty tu i owdzie dawniejszy przypominające wykwiłt, ale sztywne jakby nigdy z miejsca nieporuszone, nieożywione tym miłym bezładem, świadczącym o gwałtem towarzyskim życiu, które posługiwało się nimi kiedyś a dziś ustało. W atmosferze unoszą się niepochwytne atomy pyłów i nieustannie popielatą warstwą okrywają przedmioty. Warstwa ta spędzona ręką staranną wraca niebawem, zagrzebując pod kurzawę resztki dawnego poloru machoniów i marmurów.

Pajaki nie wiedzieć z kąd powstałe zabierają na własność kąty nieprzystępne im dawniej, powłóczyły ich gniazda rozerwane i zniesione z rana, w wieczór zwieszają znowu swoje szare siatki, jakby na urągowisko kosztownym firankom, których draperje spuszczały się jeszcze nad oknami i drzwiami, ale ogłoczone z ozdób poczerńiałych, opadających strzępiami i zmięte w nierówne niedbałe fałdy. Domownicy zdają się poruszać w ciężkiej atmosferze, takiej jaka towarzyszy ołowianym chmurom w przedchwilę burzy. Nie ujrzysz tu twarzy ożywionych i ochoczych, ani posłyszysz kroków żwawo stąpających. Każdy czuje lub wie, że chwilowo tu tylko przebywa i nietroszczy się o przechowanie lub przyozdobienie miejsca, które mu jutro opuścić zapewne przyjdzie. Apatja spada na głowę, ręce i twarze wszystkich.

Kędy zwrócisz oczy, zobaczysz usta otwarte poizewaniem albo ocięzwały krok niedbalstwa.

W godzinach pracy tu i owdzie ktoś z domowych śpi i chrapie, a zbudzony przeciąga się z niechęcią i gdy sądzi że go nikt nie słyszy, narzeka na dom w którym przebywa lub wysmiewa jego ruinę. Przez okno widzisz ogród porośły dzikiem zieleciem a w porze ustania roślinności pokryty rodzajem brunatnego mułu, powstającego zwykle z deszczów jesiennych na bogato uprawnych kiedyś a nagle zaniedbanych gruntach. Za ogrodem po przez grupy drzew ogłoconych z liścia, spostrzegasz powozy jadące drogą

tuż obok twój bramy. Tłumnie wjeżdżały w nią niegdyś dziś ją mijają. Jeżeli powóz odkryty a oko twe uzbrojone w lunetę, zobaczysz niekiedy złośliwy uśmiech na twarzy którego z najczęstszych twych dawniej gości, albo litośny wzrok jakiego poczciwca sąsiada, z gospodarskiem pożałowaniem obiegającego pola twe leżące odłogiem. Odwracasz się od okna i w drzwiach spostrzegasz stojącego urzędnika w wytartym surducie, z zastraszającą pliką papierów w ręku, albo oficjalistę trzymającego wzrok wlepiony w posadzkę bo przychodzi po pieniądzu potrzebne do gospodarskich robót wiedząc z góry, że ich nie posiadasz. Albo Izraelitę z długim szeregiem cyfr wypisanych na kawałku zabrudzonego papieru w ręku, i z szyderskiem a razem pożądlivem spojrzeniem zwróconem na którykolwiek ze sprzętów twoich, a zdajacem się ważyć go, mierzyć, cenić i uprzedzając publiczną, licytację krzycheć: ja ofiaruję najwięcej!

Są to teraz jedynie goście twoi. Tamci powozami przejechali przed chwilą koło twój bramy i twego ogrodu, aby gdzieś w dobranem wykwiłtem towarzystwie bawić się wesołą rozmową, muzyką i tańcami: ty resztę dnia przepędzisz z tymi, którzy przybyli niosąc ci z sobą troskę i upokorzenie.

Dawniej kamerdyner z gazetą w ręku rozparty na sofie przedpokoju, odprawiłby urzędnika, oficjalistę i Izraelitę do pana rzadcy lub do pana pełnomocnika, powiadając lub przynajmniej myśląc, że parkiety salonów są zbyt starannie wywoskowane i wyfrotrowane, aby je oni swymi brudnymi stopami dotykać mieli, a jaśnie wielmożna pani zbyt zajęta lustrem, gośćmi lub książką którą czyta, aby mogła czas tracić na rozmowy z nimi. Dziś kamerdynera a nawet kredencera odprawiłaś i drzwi przedpokoju przychodzącym często sama otwierać musisz. Panu rzadcy i panu pełnomocnikowi podziękowałaś za ich usługi i rady, bo nie jesteś już dość bogatą aby móż je opłacić. Nieanonsowany Izrealita zjawia się przed tobą kiedy chce, o każdej porze dnia i wieczora, podaje ci swą zatłuszczoną kartkę z cyframi i nalega, abyś mu zapłaciła co winnaś, w rozmowie odrzucając dawny dodatek, jaśnie i wielmożna, a i pani nawet, mówiąc ci od niechęcenia, ot tak zda się dla zwyczaju tylko, bo w gruncie on co ma pieniądze, uważa się za daleko większego pana od ciebie która ich nie masz.

Chociaż nie umie jak ty mówić po francusku i grać na fortepianie, uważa się nawet za daleko rozumniejszego i nieraz bez ceremonji daje ci to do zrozumienia, uśmiechem, półśłówkiem lub zabranieniem miejsca na fotelu bez twego uprzedniego zaproszenia. Skończyłaś nużącą sprawę, musiałaś unżyć się proźbą o zwłokę terminu wypłaty, wyjaśniać swe położenie przed tym o którym mniemałaś dawniej, że oślepliby gdyby spojrzął w słońce twój społecznej świetności. Połknęłaś kilka upokorzeń, kilka razy zakrzusiłaś się wymawiając wyraz: przepraszam! ukłoniłaś się odchodzącemu Izraelicie z wielką grzesznością starannie kryjąc pod spuszczoną powiekią łzę, wstydu i smutku. Jesteś sama nakoniec i zbliżasz się do zegaru, aby spojrzeć czy dzień dochodzi już nareszcie do końca, i czy prędko przyjdzie przyzwolita pora położenia się do snu, snu co ci chwilowe zapomnienie przyniesie? Patrzysz na skazówki zegara i wzruszasz ramionami z niecierpliwością i zdziwieniem. Byłaś pewna że do wieczora już tylko kwadrans, półgodziny zostaje czasu, a zegar ci powiada że zaledwie parę godzin minęło od południa. Czy popsuta się maszynierja zegara i bieg skazówek opóźnia? Czy mechanizm planetarnego świata uległ jakim zmianom, tak że ziemia wolniej niż zwykle odbywa wirowy około swój osi obrót? Ani je-

duo, ani drugie. Zegar jest doskonały i ziemia wędzie swym niepowstrzymana, rozum ci o tem powiada a jednak usta twe, co otwierają się do poziewania, zdają się mniemać, że dzień już dawno ukończyć by się powinien, bo jesteś zmęczona i chcesz spać. Przepędzasz resztę czasu jak możesz dziwiąc się, z kąd się bierze ten pył co nieustannie opada na twe stoliki i konsole? Dla czego zwierciadła i szyby w oknach nie tak są przeroczyste jak dawniej? Dla czego w pokojach przybyło pajaków a ubyło ludzi? Dla czego domowi usługują ci bez pośpiechu, tak, że kilka razy dzwonić musisz nim się którykolwiek z nich zjawi przed tobą? Nie dzwonisz nawet na nich często, a robisz sobie sama wszystko co możesz, bo czujesz pewne pomieszanie na widok sług nieopłaconych, niechętnych, zaspanych. Nakoniec z przyjemnością widzisz nadeszłą porę, spoczynku. Sądziłaś że zaledwie głowa twa dotknie się do poduszki uśniesz jak zabita. Gdzie tam! Poduszka ta co ci niegdyś tak słodkie do snu szeptała marzenia, teraz kładzie ci w ucho nieskończony szereg cyfr które dodajesz, odejmujesz, mnożysz, dzielisz a z każdego z tych arytmetycznych działań jakie teraz bardzo wprawnie nauczyłaś się rozwiązywać pamięcią, wychodzi jedno okrągłe zero. W tem zerze wielkimi literami stoi wypisane pytanie: co się ze mną stanie i co się stanie z memi ukochanemi? Czytasz to pytanie, czytasz, czytasz, aż ci oczy zabola, zamykasz powieki ale otwierają się przemocą i patrzą w zero i wypisane w niem pytanie. Północ bije; po domu pustym i uśpionym dźwięki zegara rozchodzą się jękliwie, przeciągłe. Przypominasz sobie nagle, jak to o tej godzinie gwaro i wesoło bywało niegdyś w twym domu, jak wielu wówczas miałaś przyjaciół wielbicieli, znajomych, krewnych, sług, przypominasz sobie, że właśnie o północy na wieczorach które wydawałaś, lokaje w białych rękawiczkach roznosili na srebrnych tacach wytworne przysmaki, a muzyka zaczynała grać drugiego mazura. O północy także kiedy nie miałaś gości, zamykałaś książkę lub fortepian i szłaś do spoczynku z niechęcią jeszcze ale przez obawę, aby dłuższe czuwanie nie nadwęgryzło świeżości twój cery. Teraz, nie ma gości, ani przyjaciół, ani krewnych, ani sług, ani muzyki, teraz nie myślisz o twój cerze. Myślisz może o niej ale z goryczą, bo spodziewasz się że wkrótce zwiędnie ona i żółknie wśród głodu i tułaczki. Zdejmuje cię znużenie niewypowiedziane, ale nie to fizyczne które do snu skłania, lecz moralne połączone z gorączką, takie które właśnie sen odia a zmusza chodzić, ruszać się, rozglądać się po ątach, słuchać wicheru co szumi za oknami. Wstajesz, zbliżasz się do okna, rozchylasz firankę. Przy blasku gwiazd lub księżyca widzisz daleko na polu rozłożoną wioseczkę. Parę światełek migoce pod niskimi chat dachami. O! cóżbyś za to dała, gdyby jedną z takich chatek posiadać na własność, zamiast tego wielkiego, pustego, upadającego domu, z rozłogami zapuszczonych pól w około. Posiadać chatkę czystą, całą, własną, bez ruiny, bez długów, bez trosk, z małym ogródkiem pełnym jabłoni, wisien i polnych maków na wiosnę, z kominem na którym wesoły bucha płomień, z drzwiami szczelnie zamkniętymi, a przez które wchodzi prawdziwi przyjaciele co cię kochają choć jesteś ubogą, a nie wchodzi wierzyściele co ci się nisko, bardzo nisko kłaniali gdy byłaś bogatą. Niestety! światelko gaśnie w wioseczce, z niem razem ucieka od ciebie marzenie twoje.

Nie urodziłaś się w chacie i nie możesz być prostą wyrobnicą, urodziłaś się w pałacu i jesteś podupadłą wielkością, to jest posiadasz przywilęj na śmieszność i wszelkiego rodzaju upokorzenia. Lampa nocna gaśnie, ranek bliski zasypiasz, sen miałaś niespo-

kojny a budzi cię z niego sługa, która wchodzi do twój sypialni z oznajmieniem, że kucharz nie ma materiałów do sporządzenia ci obiadu, że furman żąda obroku dla koni, którego już od kilku dni nie miały, że officialista, ktoś z czeladzi prosi o część należnej im zapłaty. Machinalnie otwierasz szkatułkę i spostrzegasz na dnie gołą deskę, spuszczasz głowę, zamyślasz się i szukasz w wyobraźni różnych wykrętów dla odparcia żądań, którym zadość uczynić nie możesz. Kończy się na tem, że nie jesteś pewna czy będziesz tego dnia jadła obiad.

Postanawiasz sprzedać ostatnią parę koni której nie masz czem pożywić, a służących przepraszasz że teraz jeszcze zapłacić im nie możesz, krztusząc się znowu każdym wymawianym wyrazem. Nie skończyłaś jeszcze toalety, gdy ci przynoszą kilka rachunków nadesłanych przez wierzycieli i parę pozwów urzędowych...

Stan taki nazywa się bogatą nędzą, bogatą dla tego, że trzymają się jęj jeszcze gdzie niegdzie pozłacane łachmany dawnego bogactwa, a w gruncie ze wszystkich nędz najdolegliwszą.

W takim stanie pogrążone byłyśmy z matką mają przez całą jesień, która długa i pochmurna ciągnęła się nieskończenie po moim do jęj domu powrocie.

Wielka jednak między jęj a moim położeniem zachodziła różnica. Ja cierpiałam tylko za nią, ona za mnie i za siebie. Ja ufałam w przyszłość i z niecierpliwością oczekiwałam stanowczego przesilenia, któreby zakończyło przykry stan wyczekiwania i tymczasowości, ją coraz sroższa ogarniała trwoga.

Dla mnie celem marzeń i pragnień był skromny pokój gdzie choćby na jakim poddaszu miejskim najęty, ale wolny od codziennych napaści i upokorzeń, ona całym siłami zdawała się trzymać tych pustych i umierających ścian swego domu, po za którymi widziała już tylko tułaczkę i ubóstwo, a wśród których mieszkając, niekiedy przynajmniej ludzi się jeszcze mogła wspomnieniami na zawsze minionego blasku. Ja nakoniec nie miałam sobie nic do wyrzucenia, bo zniszczenie jakie nas otoczyło nie było mojem dziełem; ona przeciwnie w każdej godzinie i minucie dnia, myśleć musiała że przez nieopatrność, łatwo wierność i zamiłowanie w zbytku, utraciła świetny dar losu, piękne dziedzictwo majątku swych przodków, który tyle dla niej i dla innych przynieść by mógł pożytku. Ale zupełna już różnica jaka zachodziła pomiędzy nami stanowiło to, że ja patrzyłam na ubóstwo jako na pospolitą przypadłość losu, której miliony ludzi ulega, zrozumiałam jego znaczenie i obowiązki: matce zaś mojej bieda przedstawiała się w postaci brudnych i wstrętnych łachmanów, prowadzących na twarz rumieniec wiecznego wstydu.

Co do pracy jakiej miałam poświęcić się w przyszłości, była ona w moich oczach zaszczytem, którym co prędzej przyozdobić się pragnęłam; matce mojej wrodzony jęj rozsądek i szlachetność, ukazywały także poczciwą pracę jako rzecz godną szacunku i uznania, nie gardziła ona nigdy jak inni w jęj minionem położeniu zostający ludzie tymi, którzy pracują od najwcześniejszej swęj młodości. Przytem piękną i bogatą będąc dziewczicą pokochała nawet skromnego pracownika, jakim wówczas był mój ojciec; niemniej jednak gotową będąc uszanować pracę innych, nie pojmowała jęj dla siebie ani dla mnie, i wiedzioną fałszywym instynktem nabranym od świata, wśród którego przepędziła życie, wstydziała się jęj dla mnie i dla siebie, jako czegoś co w najwyższym stopniu nieestosownem było dla osób, urodzonych na wysokim szczeblu społecznej drabiny.

Nieraz myśląc o tych poglądach naszych na ubóstwo i pracę pytałam siebie, czy sprzeczność między

niemi wynika z różnicy naszego wieku i moralnego ustroju, czy też raczej uwydatnia się w niej piętno dwóch następujących po sobie pokoleń kobiecych, z których pierwsze hodowane było jak kwiaty w oszklonej cieplarni miękkości i przesądów, a drugie szerzej na świat wejrząwszy, zaczęło już pojmować istotne człowiecze przeznaczenie kobiety. I jeszcze inne piętno dwóch światów wręcz naprzeciw siebie stojących stawało w mojej myśli, tego którego fałszywe połyski a wewnętrzne cierpienia i próżnie, poznałam przy matce na początku mego życia, i drugiego w którego zimne i surowe napozór lecz jedynie rzeczywiste i szlachetne krainy, wprowadził potem ducha mego mój ojciec?

Przesilenie stanowcze zbliżało się i coraz bardziej wydawało się nieuniknionem. Położenie było tak trudne i naprężone, że lada chwilę przesilić się musiało. Pan Henryk S. przed rokiem już dług swój egzekwować zaczął: dwa terminy sprzedaży publicznej majątku minęły, a trzeci i ostateczny przyjsć miał za dwa miesiące. Kilka więc jeszcze tygodni pozostawało nam do przebycia w domu, z którego potem miałyśmy wyjechać prawdopodobnie, aby doń nigdy nie wrócić.

W szarych dniach suchej lecz pochmurnej jesieni, obok krzątaniiny po domu przez którą pragnęłam z pomocą Bini, utworzyć w koło męj matki jaki taki ład i dostatek, jako tako zakryć przed nią dziury i laty codziennego życia i naprawiać pogardliwe niedbalstwo reszty domowników, jedyną rozrywką moją była konna przejażdżka.

Wprawdzie pięknego mego wierzchowca na którym tyle jeździłam dawniej, nie znalazłam już w stajniach mojej matki, lecz w kilka dni po bytności mojej w Rodowie, służąca wchodząc z rana do mego pokoju oznajmiła, że masztalerz Rodowski z rozkazu panny Rozalji, przyprowadził dla mnie wierzchowca i już odjechał nie pozostawivszy żadnego pisma ani ustnego zlecenia od osoby, która go przysłała. Nie zdziwiłam się wcale a tylko mimowoli przypomniałam sobie bukiet nieśmiertelników, zdołbiący pokój biednej babki Ludgardy. I pomyślałam, że Rozalja posiadała dziwny ustrój moralny i była jedną z najgłębszych znanych mi istot. Kazałam przyprowadzić przed ganek nowo przywiedzionego wierzchowca i poznałam w nim szlachetnej krwi rumaka, na którym przed kilku laty Rozalja przywiozła mi była ów okrutny i pamiętny w mem życiu list p. Agenora.

VI.

W suchy blado oświetlony jesiennem słońcem dzień Listopadowy, wyjechałam konno z domu i puściłam się zwolna na wązkie, kręte ścieżki okrażające obszerne łany pól i pozółkłe łąki. Potem wjechałam do małego boru leżącego na granicy posiadłości mojej matki i przebywszy go w zamyśleniu, sama nie wiedząc jak znalazłam się na szerokiej drodze stanowiącej główną komunikację pomiędzy gęsto rozsianymi dworami naszego sąsiedztwa. Sądząc że nazbyt już oddaliłam się od domu, miałam zwrócić konia ku tylko co opuszczonemu borowi, gdy machinalnie rozejrzawszy się po okolicy, zobaczyłam o kilkanaście staj od drogi, biełejący i kształtnymi strzelający wieżyczkami gotycki pałacyk. Poznałam go dobrze: wszak kiedyś miałam zostać jego właścicielką. Do pałacyku wiodła aleja gęsto wysadzona włoskimi topolami i w zupełnie prostą wyrznięta linję. Przez tę perspektywę utworzoną z bezlistnych drzew, widziałam piękne ogrodzenie, obszerny i ozdobny dziedziniec, kilka gotyckich

okien w wytworne zaopatrzonych żaluzje i wyniosły pałacowy taras. Na tym ostatnim długo wzrok zatrzymałam, bo przyszło mi na pamięć jedno z dziecinnych rojeń moich, które tak często dawniej przedstawiało mi p. Agenora stojącego na tym tarasie w rycerskiej zbroi, z pióropuszem bohaterów nad głową... Uśmiechnęłam się na to wspomnienie, ale zarazem i pewną rzewność poczułam. Bądź co bądź przeszłość ma swoje prawa, a pierwsze wrażenia życia są jak te ptaki, co chłodem dotknięte odlatują w dalekie strony, ale gdy słońce błysnie wracają...

Myslałam o tem gdzie też jest teraz p. Agenor i co się z nim dzieje? Dawno przebaczyłam mu wszystko co tylko względem mnie zawinił, a z owego listu jego który nas na zawsze rozłączył, pamiętałam tylko te słowa: „Czy jest na świecie człowiek w którymby nie została kropla uczciwości i iskra uczuć gorętszych? Sądzę że takiego nie ma na świecie.”

Gdy tak stałam pod ścianą lasu zamyślona i zapatrzona w pałacyk, usłyszałam nagle turkot powozu. Obejrzałam się i zobaczyłam szybko toczący się ku dworowi odkryty koczyk czterema zaprzężony koniami, a w nim widać było dwie siedzące kobiety, których twarzy rozpoznać z razu nie mogłam. Przyszło mi na myśl, że były to zapewne jakie dawniej znajome a obojętne mi sąsiadki, i nie bardzo sobie życząc spotkania z niemi, zwróciłam konia i chciałam copędzej wjechać do lasu, aby zniknąć z oczu jadących. Ale spostrzegłam że sama nie wiedząc o tem, oddaliłam się nieco od ścieżki, która prowadziła w głąb lasu, i aby teraz dostać się na nią musiałam koniecznie skrzyżować się z szybko nadjeżdżającym powozem. Nie sprawiło to mi wielkiej przykrości. Wprawdzie w skupionym i nieco smętnym nastroju umysłu w jakim się znajdowałam, wolałabym nie spotykać obojętnych twarzy, ale znowu nie miałam też żadnego powodu do ich zbyt starannego unikania. Jechałam więc zwolna ku mojej ścieżce i gotowałam się do zamienienia z nadjeżdżającymi paniami obojętnych ukłonów, — gdy nagle z powozu dały się słyszeć dwa kobiece do wóźnicy skierowane okrzyki: stój! stój! Spojrzałam i zobaczyłam dwie zwrócone do mnie dobrze mi znane twarze Emilki i Zosi. W mgnieniu oka powóz zatrzymał się, ja także zeskokczyłam z konia i wszystkie trzy znalazłyśmy się stojące przy sobie u skraju lasu, o kilkanaście kroków od drogi i służby towarzyszącej powozowi dwóch pań. Emilka ścisnęła i całowała mię z właściwą sobie czułością, Zosia prędko wypuściła moją rękę, którą z razu była uściśnęła i stała o parę kroków ode mnie, wlepiając w moją twarz swoje wielkie szafirowe oczy, które odrazu uderzyły mię szczególnym wyrazem, jaki je teraz napełniał. Obie dawne towarzyszki moje były bardzo zmienione, ale każda inaczej. Emilka nigdy nie była ładną a teraz stała się nią mniej jeszcze. Cera jęj zgrubiła, oczy zapadły, usta straciły kolor a cała postać nie miała tęg wyrafinowęj salonowęj dystynkcji, jaka ją cechowała dawniej, tembardziej że i ubranie na nią było bardzo skromne, ciemne i niedbale włożone. Mimo to wydała mi się jeszcze sympatyczniejszą jak wprzódy: dobroć i ciepło serdeczne promieniowało z jęj błękitnych źrenic, a cała osoba napiętnowana była nieokreślonym smętkim i łagodnością.

(d. c. n.)

MAŻ I ŻONA

POWIEŚĆ W TRZECH TOMACH

WILKIE COLLINS'A

TŁOMACZONA Z ANGIELSKIEGO

PRZEZ

Paulinę Wilkońska.

(Dalszy ciąg).

— Opowiem ci sumiennie. Zastałem u niej nieznanego mi kapitana Newenden i misstress Glenarm. Chciała ze mną wyjść do drugiego pokoju, goście powstali by ją pożegnać, lecz nie zezwoliłem na ich odejście, oświadczając wręcz, że interes mój do lady Lundie, może być głośno przy wszystkich mówiony. Był to szlachetny pierwszy dany macosze. Mniemała że się lękaś opinii publicznej, ogromnie się omyliła kochaneżka! Przyjmując z góry to, co Francuz nazywa fait accompli, powiedziałem jej bez ogródki: Doprowadziłaś pani rzeczy do ostateczności, to niechżeż tak idą dalej. Mam do pomówienia z brataneką moją a potem i z panią w obec tych gości szanownych. Kapitan zatem i misstress Glenarm usiedli znowu. Ponieważ nie mogła mi wzbronić rozmowy z brataneką, wyszliśmy do drugiego pokoju oboje. Oddałem Biance list twój i przemówiłem za tobą ty chłopcze nie dobrego. Ach! bieda z zakochanymi, stokroć jednak gorsza z mężami zaślepionymi w swych połowicach. Widziałem, że była zmarswiona i bolejąca lubo ukazała tego nie chciała. Powróciliśmy do salonu i zaledwo kilka słów wyrzekłem w samym interesie, przekonałem się odrazu, że kapitan w tym samym co ja przybył celu, miał interes z tą tylko różnicą, że mojem zadaniem było zaprzeczać małżeństwu twemu z miss Silwester, a jego dowodzić, przekonywać że ją zaślubił. Zaczęliśmy od następujących grzecznych wyrazów.

— Cieszę się ze znajomości szanownego kapitana.

— Jestem szczęśliwy że mam zaszczyt poznać sir Patrika.

— Myślę, że skończymy nasz interes w przeciągu dziesięciu minut.

— Tego i ja pragnę jak również i misstress Glenarm, moja bratanek a narzeczona p. Godfryda Delamayn. Zachodzi wszelako przeszkoda co do przyszłego ich związku którą usunąć potrzeba. Czy mówię zrozumiale?

— Jakby prawnik szanowny kapitanie — odrzekłem, także nastrojony jak on poważnie i urzędowo, proszę, zechciej rzecz prowadzić dalej.

— Master Godfryd Delamayn twierdzi, że miss Silwester żadnego doń nie ma prawa, ponieważ jest zaślubioną panu Arnoldowi Brinkworth. Lady Lundie i moja bratanek wierzą temu twierdzeniu. Dla mnie ono wszelako nie wystarcza.

— Uważam, że pan kapitan jasno rzeczy widzisz, odrzekłem z ukłonem, i nabieram coraz lepszego przekonania o pańskiej zdolności prawniczej.

— Dlatego też dopóty wstrzymuję danie zezwolenia na związek mojej bratanek z panem Godfrydem Delamayn, dopóki on nie udowodni, że nie zawarł małżeństwa z tamtą damą. Wskazuje on mi dwóch świadków, lecz obecnie sprawą tą zająć się nie może z powodu przygotowań do wyścigu: uznawszy że ma słusność, sam tych świadków do Londynu sprowadzę. Napisałem już w tym celu do mojego prawnika w Perth. Staną tu zapewne za dni kilka. W przyszły wtorek odbędzie się wyścig pieszy,

pan Godfryd zatem będzie miał czas wolny. Możemy więc zejść się w następną sobotę, by rzecz tę zakończyć. Czy pan przystajesz na to?

— Jak najchętniej.

Otóż i treść rozmowy naszej, mój kochany, misstress Glenarm i lady Lundie siedziały milezące i wielce niezadowolone.

— Dzięki szanownemu kapitanowi, odezwałem się zwrócony następnie do pani macoszy, nie potrzebujemy już teraz o tym mówić interesie. Spieszno mi na kolej, bo chcę do domu powrócić i zaspać Arnolda. Pokłoniłem się i wyszedłem.

Zejdziemy się przeto mój kochany, wszyscy w sobotę po wyścigach u lady Lundie, i ty i twoja Bianka także. Nie jestem wszelako bardzo spokojnym o skutek tego co zająć może, liczę tu głównie na jutrzejszą rozmowę z miss Silwester, bo od niej doła twoja zależy.

— Och gdybym jej nigdy nie był oglądał!

— Ochrczuj licha właściwem imieniem i powiedz, obym był nigdy nie znał Godfryda.

Sir Patrik powiedział prawdę.

SCENA DWUNASTA.

Drury Lane.

XLVII.

W jednym z mniej pozorowanych domów przy ulicy Drury Lane, był duży pokój od tyłu. Nut stopy zalegały go wkoło, na ścianach wisiały portrety sławnych śpiewaków i śpiewaczek, tancerzy i tancerek, różne barwy i broń teatralna. W jednym rogu stało próżne puźdro od skrzypcy i uszkodzone Rossiniego popiersie. Ponad kominkiem umieszczono obraz bez ram, przedstawiający królową Karolinę w obec sądu. Krzesła proste dębowe i stoły, kawałek kobierca na podłodze, pokład kurzu i sady stanowiły całość dość harmonijną. Było to miejsce prób teatralnych i muzycznych niższego rzędu.

We wtorek po południu, znajdowały się w tym pokoju dwie osoby; Anna Silwester i sir Patrik. Mówili, obszernie o tem co zaszło w Perth, w Swanhawen a następnie i o rozłące Anny z Arnoldem. Poczem sir Patrik umilkł na chwilę, spojrzął na Annę, zawahał się niby i wreszcie zapytał:

— Czy pani czujesz się na siłach, byśmy o tym przykrym przedmiocie mówili dalej? Może wolalabyś spocząć?

— Dziękuję, sir. Nie mam słów na wypowiedzenie o ile pragnę wszystko naprawić. Powiedz tylko co mam uczynić?

— Zechciej mi pani nasamprzód odpowiedzieć: czy miałaś inny jeszcze powód przybyć do Londynu, o którym nie mówiłaś mi dotąd? I czyli to ma styczność z dołą Arnolda? Muszę wiedzieć o wszystkim.

— Tak panie, miałam powód, lecz nie mogłam zamiaru dokonać.

— Mógłbyś zapytać, co to było?

— Chciałam widzieć się z Godfrydem Delamayn.

— Pani chciałaś go wiedzieć? Kiedy?

— Dzisiaj rano.

— Wszakże dopiero zeszłej nocy przybyłaś?

— Musiałam zatrzymać się w Edynburgu, następnie w Yorku, a lękałam się, by mnie misstress Glenarm nie uprzedziła.

— Wiem, że pani nie masz zamiaru wchodzić

w nieporozumienie z misstress Glenarm o tego łoża, więc o cóż lękałaś się?

— Miałam to samo na celu co jadąc do Swanhawen. Nazwiesz to pan może szaleństwem, ale znękana niedołą, którą sprowadziłam na pana Brinkwortha, nie mogłam tego wyrzec się zamiaru. Pragnęłam Godfrydowi to samo powiedzieć, czego misstress Glenarm nawet wysłuchać nie chciała! Gdybym z nim była mogła pomówić, bytność moja, we Fulham możeby pomyślny była odniosła skutek ale.....

— Pani jesteś usprawiedliwioną, zrobiłaś ofiarę, odrzekł sir Patrik biorąc jej rękę. Lecz pozwól sobie powiedzieć, że gdyby Godfryd przystał nawet na wszystko, rzeczy stałyby jednakże jak stoją. Największem złem w całej tej sprawie jest to, że Arnold spędził z panią tyle godzin w Craig-Fernie.

— Czemuż tego nie wiedziałam dzisiaj rano! i cała jej postać zdrzała boleśnie. Znać ją coś nader przykrego spotkało.

— Racz mi pani opowiedzieć wszystko co tam zaszło! — prosił sir Patrik spostrzegając jej silne nerwowe wstrząśnienie.

Anna zastanowiła się.

— Podrażnię tylko pana, a może bezpotrzebnie odrzekła z widoczną niechęcią.

— A jednakże, jest to koniecznem.

Anna zebrała siły i mówiła spokojnie:

— Miałam nieco trudności w odszukaniu mieszkania Godfryda, mimo otrzymanego adresu. Mały to domek wśród dużego ogrodu, otoczonego w koło murami. Stał tam powóz, woźnica przechadzał się przed nim i drzwi mi wskazał, wysokie, z kratą żelazną. Zadzwoiłam, dziewczyna nadeszła, spuściła kratę, ale mnie wpuścić nie chciała mówiąc, że pani jej zakazała bym nie wpuszczala nikogo. Dałam jej nieco pieniędzy i prosiłam, by mi ułatwiła z gospodynią domu rozmowę. W tej chwili zobaczyłam twarz drugą po za kratą, niby mi znajomą. Nerwowe przebiegło mnie drzenie. Znamy się podobno wymówiłam pomimowolnie. Nikt nie odpowiedział, ale drzwi otworzono. A przedemną stanęła... zgadniej, pani?

— Któż taki?

— Estera Dethridge.

— Estera?

— Tak, ubrana jak zwykle, z tablicą przy boku.

Nie zmieniła się w niczem.

— Spotkałam ją na stacji, gdy opuściła Windygates. Cóż ona tam robi?

— Mieszka w Fulham, we własnym domu.

— Estera Dethridge we własnym domu? Ha! Dla czegożby nie? Więc panią wpuściła?

— Stała i patrzyła się na mnie tak dziwnie, jak zwykle. Służba w Windygates twierdziła zawsze, że ona ma pomieszczenie zmystów.

— Czy mnie poznajesz? zapytałam,

Napisała na tablicy: gdym ciebie raz ostatni widziała, leżałaś zemdlona w bibliotece.

Nie wiedziałam, że ona była tam wtedy. Przeraziło mnie na wskroś jej spojrzenie, jakby martwe, a może i to, że mnie zemdloną widziała. Nic wymówić nie mogłam, a Estera napisała znowu. Wyrzekłam wtedy, że to nastąpiło z winy mężczyzny. Czy zgadłam? Gdyby mnie o to był kto inny zapytał, byłabym się czuła obrażoną dotkliwie. Jej odpowiedziałam wszelako a mimowolnie. Tak, sama nie rozumiem dla czego, znać mnie wzrok jej zmienił.

— I to działo się przed domem?

— Tak.

— Potem wzięła mnie za rękę, rubasznie nieco wprowadziła do domu i drzwi zamknęła. Puściła rękę

kę moją, stanęła przedemną, wpatrywała się we mnie i głos straszliwy wydała... nie gniewu, nie przestraszu, ale raczej zadowolenia.

— Czy lubiła panią w Windygates?

— Nie nie wiem. Zdawało się, że ona nikogo lubić nie może.

— Czy napisała co więcej?

— Tak. Majaczyła ciągle o zemdleńiu mojem i mężczyźnie, który to zemdleńie sprawił. A potem zapytała: Powiedz czyli ciebie uderzył także? Każdy inny byłby rozśmiał się pewnie. Jam była zdumiona i odpowiedziałam: Nie! Pokręciła głową, jak gdyby nie dowierzała i nakreśliła: Nie chcemy przyznać chociaż nas uderzą i biją pięściami. Mylisz się co do mnie odrzekłam. Któż on jest? zapytała znowu. Nie odpowiedziałam. Otworzyła drzwi sienne i wskazała, bym wyszła. Złożyłam dłońie, jakoby z prośbą. Podjęła tabliczkę, znać domyślając się po com tu przybyła i zapytała: Czy to ten który tu mieszka? Odpowiedziałam: Tak. Pragnę go widzieć, — bo inaczej byłaby mnie pewno za drzwi wyprowadziła. Wzięła znowu moją rękę jak poprzednio i powiodła mnie wgląd domu.

— Słyszałem od brata, że mąż z nią bardzo się źle obchodził, i że w skutek jego uderzeń mowę utraciła. Domyślała się przeto w pani równie nieszczęśliwej istoty. Ale cóż dalej?

— Weszliśmy do tylnego pokoju. Ofiarowała mi filiżankę herbaty, lecz podziękowałam... widziałam w niej współczucie dla siebie, bo zapewne sądziła, że przechodzę przez takie nieszczęście, jak ona kiedyś. Wskazała mi ręką pokój i ogród, jak gdyby powiedzieć chciała: To wszystko jest moje. W ogrodzie zobaczyłam czterech mężczyzn, a między nimi Godfryda.

Już miałam jęj powiedzieć, że chcę z nim pomówić, gdy mnie pociągnęła do kominka i wskazała zapisany papier za szkłem, w ramki oprawiony drewniane. Żądała, bym przeczytała. Był to wyciąg z testamentu jęj brata: żałował że ją zaniedbywał przez czas długi, z powodu że poszła za człowieka, którego nienawiedził, i jako dowód swojego żalu zapisuje jęj dwieście funtów rocznie wraz z domem z ogrodem aż do jęj śmierci. Dowiedziałam się następnie, że ktoś obcy, trener zapewne najął dla Godfryda Delamayn mieszkanie, bo rozległy ogród podobał mu się szczególniej.

— Zapytałam jęj, dla czego wynajmuje mieszkanie, mając dostateczne dochody. Odpowiedziała: „nie mam nikogo na świecie, a sama mieszkać nie mogę.”

— I wyszłaś pani do ogrodu?

— Tak, sama drzwi mi otworzyła. Przechodząc koło okna widziałam że usiadła przy niem jak gdyby czuwała nade mną. Udałam się w stronę, gdzie tych czterech mężczyzn widziałam. Jeden stał na uboczu, już niemłody, dwaj drudzy namawiali Godfryda, by zasięgnął rady najślawniejszego lekarza, wskazując ręką stojącego opodal.

— Czy wymienili nazwisko?

— Tak: master Speedwell.

— To jest ważniejsze, aniżeli pani przypuszczać mogłaś! Słyszałem jak go Speedwell przestrzegał w Windygates: czy zasięgnął jego rady?

— Nie. Ofuknął się nawet mówiąc: powiedział że jestem złamany, ho ho! pomylił się grubo! — zaklął — odszedł — i nieszczęściem udał się w stronę gdzie przystanęła, czekając dopóki rozmowy nie skończy. Gdy mnie zobaczył, myślałam, że wpadł w szaleństwo... Och! niepodobna jego powtórzyć wyrazów! Dość, że m je słyszała... i gdyby nie ci dwaj drudzy, byłaby Estera zobaczyła to zapewne co spodziewała się ujrzeć.... Godfryd był

strasznym ponad wyrażenie wszelkie! Drzę jeszcze gdy o tem myślę. Jeden z dwóch towarzyszków jego był niemal równie brutalnym i krzyknął: że jeżeli master Godfryd Delamayn wyścig przegra, nastąpi to z winy mojej. W tej chwili nadszedł doktor. „Nie dla nas to miejsce“ — wymówił, podał mi rękę i wprowadził do domu. Estera wyszła na spotkanie nasze. Spojrzała na mnie, potem w ogród i pięścią uderzyła w powietrze. Myślę, że zaśmiała się przytem... ale może to było tylko przywidzeniem. Doktor wyprowadził mnie mówiąc: „Dobrali się wszyscy w tym domu sami warjaci. Powóz który widziałam poprzednio czekał na niego właśnie, ofiarował mi więc w nim miejsce. Przyjęłam je z wdzięcznością aż do stacji. Estera szła za nami i ciągle wywijala pięścią, to patrząc na mnie, to w ogród. Nie chciałam jęj widzieć więcej.

— Czy pani nie wiesz jakim sposobem doktor Speedwell dostał się do Godfryda?

— Wezwali go, wyjaśnił mi wszystko. Jednym z dwóch mężczyzn był trener, a drugim doktor którego trener radził się zwykle. Podobno że Godfryda rychlej ze Szkocji przyzwali, by rady zaciągnął lekarzy. Tamten doktor nieufając sobie, poprosił dziś pana Speedwell, ale bez skutku pomyslnego, jak tego bylam świadkiem.

— Czy Speedwell mówił pani co o Godfrydzie?

— Powiedział mi, że tamten doktor źle o jego zdrowiu rokuje. Umieścili go w tym domu dla większego spokoju. Trener przepisał mu dyetę, której Estera Dethridge jako doskonała kucharka, szczególniej zadość uczynić potrafi. Widok jęj przy pierwszym do mieszkania wstępie, tak strasznie Godfryda przeraził, że chciał uciekać zaraz, czego byłby dokonał, gdyby go nie powstrzymali byli trener i doktor. Master Speedwell powiedział mi w końcu, że przy tym wyścigu pieszym Godfryd łatwo życie swoje położyć może.

Sir Patrik zamyślił się.

— Nie straciliśmy czasu — odezwał się, żeś mi pani opowiedziała co zaszło w Fulham. Przepowiednia śmierci tego człowieka różne nastrocza uwagi. Liczę na panią że stawisz się w oznaczoną sobotę.

— Z pewnością.

— Bądź pani wszelako przygotowaną, że w miejscu dawniej Bianki spotkasz osobę, którą lady Lundie chwilowo przerobiła zupełnie.

— Jestem przysposobioną na wszystko, ale dopóki żyć będę, nie przestanę jęj kochać i nie mnie dla niej zmienić nie potrafi. Naucz mnie tylko, panie co mam uczynić?

— Delamayn przyrzekł, że zaślubi panią.

— Przyrzekł!

— Arnold mówił mi o dwóch listach zaginionych w Craig Fernie: jeden pani napisałaś, a drugi Godfryd na tym samym arkusiku. Pani odebrałaś je podobno od Bishopriggsa, chciej mi więc je pokazać!

Anna powstała i podała mu żądane listy.

— Wstydzę się za to, com tutaj niegdys napisała, poszepnęła ale wtedy Godfryd nie był jeszcze tem czem jest dzisiaj.

Przystąpiła do okna, przycisnęła dłonią piersi i patrzyła bezmyślnie na dachy, kominy i okopcone mury. Przez ten czas sir Patrik, czytał znane nam listy z pierwszego tomu z taką uwagą, że prawie odetchnąć nie śmiał i nagle aż podskoczył na krzeselku po latach dwudziestu, raz pierwszy zapewne.

Anna obróciła się zdumiona.

Sir Patrik biegał po pokoju bez laski. Odmłodził niby: twarz jego, głos, ruchy, wszystko w czarodziejski zmieniło się sposób.

— Jak dawno pani byłaś w Szkocji gdy list ten napisałaś? Czy więcej jak trzy tygodnie?

— Och, więcej!

— Z pewnością?

— Najniezawodniej.

— Możesz pani wskazać osoby, które to poświadczą?

— Z łatwością.

— A dawnoż Godfryd był w Szkocji, gdy to napisał? zapytał znowu sir Patrik wskazując ołówkiem nakreślone wyrazy.

Anna pomyślała.

— Na miłość Boga, odpowiedz pani jak najściślej może tego dobrze nie pamiętasz?

— Pogmatwały się trochę myśli moje, lecz doskonale pamiętam, że bawił dni kilka w Esk, a przez trzy tygodnie u brata swojego w Swanhawen zanim do Windygates przybył.

— Jesteś pani tego pewna?

— Najpewniejszą.

— I na to są świadkowie?

— I wielu nawet.

Sir Patrik ujął jęj ręce obiedwie.

— Posłuchaj pani! wymówił. Listy te niweczą wszelkie podstępne przeciwko Arnoldowi działania. Gdy przybył do karczmy w Craig Fernie.....

Zatrzymał się i spojrzał na nią: drżała jak listek.

— Gdy Arnold Brinkworth przybył do karczmy w Craig Fernie, byłaś pani już według praw szkockich, Godfryda Delamayn ślubną małżonką.

Umilkli oboje. Anna patrzyła na niego a wyglądała, jakoby uosobiony wyraz przerażenia, blada i zimna. Sir Patrik cofnął się nieco, uderzony tą jęj trwogą bolesną, bo mając tylko przyszłość Bianki na celu, ani pomyślał, że biedna Anna stanie się żoną nikczemnika który ją zgubił, zpotwarzył i porzucił; któryby ją dziś był uderzył gdyby nie towarzysze jego, że wreszcie stanie się żoną niegodziwca, który ją zdradziwszy haniebnie wniósł rozpacz w dom przyjaciela!

Przystąpił do niej i ujął jęj rękę lodowato zimną.

— Wybacz pani, szepnął, alem tylko o Biance myślał.

To imię tchnęło nowe w nią życie, czucie jęj powróciło i oczy zajaśniały.

— Jest-to zbyt straszna ofiara, czyż mam prawo wymagać jęj dla Bianki? czy Bianka..... sir Patrik urwał i dłoń jęj ścisnął.

— Wszystko uczynię, wszystko! — odrzekła — cokolwiek Biance szczęście zapewnić może.

SCENA TRZYNASTA.

Fulham.

XLVIII.

W dzień wyścigów, samotny cudzoziemiec udał się także z Londynu do Fulham w towarzystwie rozlicznych ciągnących tamże tłumów. Jedni mieli kokardy żółte a drudzy różowe, jako oznaki dwóch stronnictw pieszego wyścigu. Długi szereg powozów pociągał środkiem, a wszystko zatrzymywało się przed wielką kratą gdzie sprzedawano bilety. Po za kratą był plac wielki, rozległy, podobny do nieuprawnego ogrodu.

Stanawszy tutaj, cudzoziemiec spojrzał zdziwiony na widok, który jego przedstawił się oczom. Tysiące ludzi należących do stanów średnich i wyższych, skupiło się na wzniesieniu amfiteatralnem w koło ogrodzenia, otaczało arenę. Inni stali w powozach, od których odłożono konie: gwar, wrzawa, krzyk!

w dziwnej a nieznośnej rozlegały się mieszanie, jakiej cudzoziemiec dotąd zapewne nigdy nie słyszał jeszcze. Jedno szczególnie wyrażenie o jego objawie się uszy: *Who backs?* (Któż się zakłada?) przy którym wymieniano dwa bretońskie nazwiska całkiem niezrozumiałe dla obcego ucha. Zaciekawiony przeto zapytał bliskiego policjanta, najlepszą angielszczyzną na jaką się mógł zdobyć:

— Zechciej mi pan objaśnić, co to wszystko ma znaczyć?

— Walka północy z południem, odrzekł policjant, *sporty*.

— Ale o cóż tu chodzi?

Policjant wskazał mu palcem afisz przyklejony na murze.

Cudzoziemiec przystąpił, przeczytał i byłby zapewne niewiele zrozumiał, gdyby nie jakiś usłużny jegośność, który go objaśnił:

— Różowy kolor oznacza północ, a żółty południe. Północ dostarczyła czternastu różowych, południe trzynastu żółtych. Spotkanie się tych dwóch barw jest uroczystością, którą wywołało niepokonane zamiłowanie narodowe, mające na celu nadanie siły i sprężystości rękóm i nogóm przez wyrzucenie kul i młotków *cricket'owych*. Obecnie będziemy mieli sposobność podziwiać w pierwszym wyścigu współzawodnictwo sił najpierwszych, stanowiących sławę Anglii. Publiczność objawi swój entuzjazm przez głośne oklaski. Dzienniki o dzisiejszych zwycięstwach obszernie sprawozdanie umieszczą, a ktokolwiek śmiały przyganiać tym wyścigom fizycznym, które wielkość stanowią narodów, ten dałby dowód że nie pojmuje, ich doniosłości i ciasny ma umysł.

Cudzoziemiec wysłuchał w milczeniu, spojrział na zebraną publiczność, i dalsze sam w sobie robił uwagi. A czynił to już nie po raz pierwszy. W teatrze np. uważał, że gdy scena przedstawiała obrazy i uczucia szlachetniejsze, podniosłe, to zamiast zajęcia, wywoływała znudzenie widzów, a co gorsza ich szyderstwo. W między aktach nawet nie mówili o tém na co patrzyli, bo dzisiejsi współrodacy Szekspira wymagają głównie, by przedstawienie dramatyczne rozśmieszało i skończyło się rychło.

Tutaj wszelako ujrzał wielce podniecony interes, i wszystko w innym, w ożywczem przedstawiało się świetle z uniesieniem dziewczem nienapotykanem gdzieindziej. Tutaj zasiadali najpierwsi gentlemanowie, obojętni na wszelkie dzieła sztuki, a wydający przy tych muszkułarnych wyścigach okrzyki uwielbienia, dopóki nie ochrypli. Tutaj piękne i wykwiłne panie, które gdy ziewać były zwykły na samo przypuszczenie, że mają posłuchać czegoś co przemawia do uczucia i myśli, tutaj siedziały wiewające chusteczkami z rozkoszą, i płonąc z uniesienia pod warstwą pudru i rózu dla tego jedynie, że oczekiwano na skoki i harce, ściganie się do upadłego i wyrzucanie kul i młotków w grze, mającej siły fizyczne wzmagać.

Nagle powstały wesole okrzyki motłochu, stojącego zewnątrz placu. Wszyscy spojrzeli i wołano zewsząd: otóż jeden! Chwilowe nastąpiło milczenie a potem znowu okrzyk: już obadwaj przybyli! — i oczy wszystkich zwróciły się na pawilonik drewniany, w głębi placu stojący, okna którego były zasłonięte i drzwi szczelnie zawarte.

Dwaj mężczyźni poważnego wejrzenia, przepychali się właśnie wśród tłumu i stanęli przy cudzoziemcu. Ponieważ wyraz ich twarzy dosyć był pociągającym, zapytał więc ten o powód tak liczego zgromadzenia się publiczności.

— Dwóch młodych silnych ludzi odrzekł młodszy

z zapytanych, będzie się ścigało z sobą, obiegając kilkanaście razy wkoło arenę.

Cudzoziemiec poruszył ramionami i wznosił oczy ku niebu, potem plac opuścił i do hotelu swojego podążył.

W drodze chciał wydobyć chustkę ale jej w kieszeni nie znalazł: sięgnął do sakiewki ale i ta zniknęła. Za powrotem do ojczyzny zapytany o zdanie swoje co do angielskiego narodu, odpowiedział: naród cały zagadką jest dla mnie, bo poznałem dobrze jedynie złodziei angielskich.

Tymczasem dwaj panowie przetłoczyli się do furtki w ogrodzeniu, pokazali rozkaz piśmienny policjantowi, a ten wpuścił ich zaraz za barjerę. Widzowie wkoło patrzyli na nich okiem ciekawem i pełnym zazdrości, i pomyśleli zapewne że to są może wyścigowi sędziowie, korespondenci dzienników, albo też komisarze policji. Byli wszakże to znajomi nasi: sir Patrik i doktor Speedwell.

Przeszli się po placu: w środku był trawnik a w koło szeroka wiodła droga, usypana z przesianego popiołu i miążkiego piasku. Zachodzące słońce błyskotne rzucało promienie, tam gdzie łamało się światło, ciemne zalegały smugi, przedmioty i barwy cieniowały się dziwnie i malowniczo tworzyły obraz.

— Czyliż w tym całym tłumie jedną znalazłby duszę, odezwał się sir Patrik do doktora, któraby odgadła co nas sprowadza?

— Nikt też ani przypuszcza, jaki może być skutek tej walki, odrzekł master Speedwell.

— Byłbym tu wołał nie przyjść wcale, jeżeli ten nędznik..

— Możem się i zawiódł, mój panie! Zdaje mi się jednak, że przewidzenie moje jest słusznem, ale pozory zbyt często mylą. Może Godfryd Delamayn ma jeszcze siły żywotne, jakich nie przypuszczałem wcale i nową tutaj nabiorę nauki. Mniemam przecie że stanowczo nadwęgrył zdrowie i że ten wyścig go zgubi. Być jednak może że się stanie wszystko inaczej wbrew moim przewidywaniom.

Sir Patrik milczał, był ponury i niespokojny. Odkąd powziął pewność, że Anna jest żoną Godfryda według praw wszelkich, pragnął niestety! śmierci jego! Było to straszne, sam mówił to sobie, lecz myśli tej i życzenia, pozbyć się nie mógł żadnym sposobem. Myśli tak przekorne zdarzają się czasami..

— Ileż razy mają obiedz wkoło? zapytał po chwili.

— Nie wiem, ale nas ten pan objaśni — odrzekł doktor wskazując nadchodzącego mężczyznę. Jest to pierwsza wyścigowa powaga i sędzia, a mój pacjent zarazem.

Wskazany był wieku średniego, miał twarz dziwnie pomarszczoną i przedwcześnie zsiwiałe włosy, ruchy żwawe jakby wojskowe i mówił szybko.

Doktor Speedwell powtórzył mu zapytanie sir Patrika.

— Obwód wokoło zajmuje ćwierć mili a obiedz go muszą szesnaście razy. Zatem cztery mile zrobią odrzekł. Taki bieg nazywa się *Lap*.

— Czyliż podobni ludzie długo żyją?

— Bynajmniej. Wyjątkowo tylko późnego doczekują się wieku.

— Czyliż ci co dzisiaj ścigać się będą, mają dość siły po temu? zapytał sir Patrik znowu.

— Osądź pan sam, otóż z nich jeden!

Z pawilonu wychodził właśnie Fleetwood, szermierz północny, cały w różową ubrany barwę. Tłumy grzmotnym powitały go oklaskiem.

Młody, niski, szczupły, pełen elegancji w ruchach, zreczny a silny, z wesołym uśmiechem ufności na

licu, zapaśnik północy od razu niewiele pozyskał serca. Mężczyźni wszelako z większem zastanowieniem spoglądali na niego, zwłaszcza też ci, którzy rozumieli rzecz lepiej, bo następczała się uwaga: „nie jest że on za szczupły i za delikatny? Trenowany wybornie, ale czyż mu siły na mil cztery wystarczy?

Szermierza północy otoczyli stroniacy jego i trener który go wyćwiczył, trzymając dzbanek w ręku z wodą.

— Sprawi mu śmigus zimną wodą — objaśnił sędzia wyścigowy — dla orzeźwienia gdy go znużenie owładnie.

W tej chwili powstał nowy grzmot oklasków, bo ukazał się Godfryd Delamayn, zapaśnik południa w kolor żółty ubrany. Wrzawa tysiąca głosów wzmagała się z każdą chwilą, gdy na środkowym stanął trawniku. Uderzająca bowiem była różnica pomiędzy dwoma współzawodnikami. Godfryd o głowę był wyższym od Fleetwooda i odpowiednio silniej zbudowany i barczysty. Kobiety oczarowane uśmiechem młodego zapaśnika północy, nieprzyjemnego doznały wrażenia, gdy Godfryd przechodził z wolna, z postawą ponurą, z czołem pochylonem, głuchy na oklaski, obojętny na zwrócone nań spojrzenia, niemówiący z nikim, zawarty w sobie jak gdyby losy już nie Anglii, ale całej ludzkości na jego spoczywały barkach. Wieść przedtem głuchobiegała niekorzystnie o zdrowiu jego, ale pieczęć, gdy ujrzeli go teraz w całej muszkułarnej potęgze, gibkim jak pantera, silnym i sprężystym jak lew rzucający się na zdobycz. Wszystko więc za wygraną południa mówiło, zakłady po stronie jego poszły w górę jak go tylko ujrzano gdyż uznano ogólnie, że „Fleetwood jest dobrym dla małych przestrzeni, a Godfryd Delamayn z łatwością cztery mile przebiegnie.

— Czy on nas widzi? poszepnął sir Patrik doktorowi.

— On nikogo nie widzi.

— To i cóż pan o tem sądzisz?

— Siły muszkułarnej posiada dwa razy tyle co tamten. Zbudowany przytem doskonale, ale nie więcej na teraz powiedzieć o nim nie umiem, zwłaszcza że nawet twarzy ztąd dojrzeć nie mogę dobrze.

Nastąpiła znowu chwila milczącego oczekiwania. Osoby należące urzędowo do wyścigów zgromadziły się na środku. Pomiędzy nimi byli Perry, także z dzbankiem w ręku, dający Godfrydowi jeszcze przestrogi niektóre. Doktor trenera przystąpił w tym czasie do swojego znakomitego kolegi.

— Jakże tam było później w Fulham? zapytał go master Spendwell.

— Doskonale, sir! Miał wtedy zły dzień, gdy go pan widziałeś. Od dwudziestu-czterech godzin cudów dokazał!

— Czy wygra wyścig?

Doktor poszedł za przykładem Perry'ego i zrobił także zakład po stronie Fleetwooda, by odbić na nim to, co lękał się stracić na Godfrydzie. Publicznie wszelako pozostał wiernym kolorowi żółtemu. Rzucił obecnie lekcważące spojrzenie na północnego szermierza i odrzekł, bez najlżejszego zawahania się..

— Czy wygra? bez żadnej wątpliwości, co znaczy ten patyczek względem naszego herkulesa.

(d. c. n.)



N. 1. Pelerynka do wyciętego stanika, przybrana pliskami i koronką.

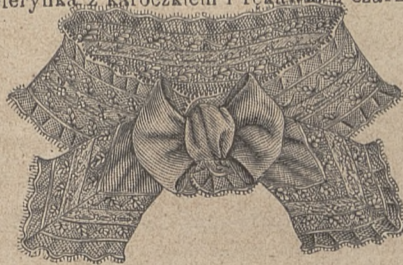
O UBIORACH.

W magazynie pana Włodkowskiego, oprócz różnych towarów na obecną porę sprowadzonych, oglądaliśmy także i gotowe ubrania z całym wykwintem mody i dobrym gustem pani Włodkowskiej wykonane. Najoryginalniejszym ze wszystkich wydał nam się kostium „garde mobile“ zwany. Spódnica popielata z koziej wełny, garniowana była szerokim wolantem, na który spadał nagłówek wycinany w okrągłe zęby dość duże, obejmowane czarną wypustką, w kontrafałdy układane i takowe odwracane do góry. Do tej spódnicy, paletot z tyłu szerokim paskiem spięty, na przodzie zapinany był na dwa rzędy guzików. U góry klapki wyłożone, poły od spódniczki także mocno na wierzch odwinęte, przynajmniej na pół łokcia i przytwierdzone guzikami. Pelerynka mała ze śpiczastym kap-

turkiem, ubrany nagłówek w kontrafałdy. Cały kostium przyozdobiony pliskami i pliskami z czarnej materji. Drugi kostium również oryginalny składał się ze spódnicy jedwabnej koloru maron do ziemi, garniowanej wysoko wolantami i pliskami. Stanik z klapkami maron, rękawy do niego popielate z popeliny wełnianej, z niebieską tuniką i potrójną pelerynka osobno wkładana do wycięcia na ulicę zwana (Cocher) furmańska. Pelerynka ta do samego dołu jak również tunika zapinane na przodzie na guziki, wszelako i z tyłu tak samo guziki niby do spięcia dane. Szerokość kostiumu łokci 5 i pół. Krynoliny zupełnie prawie zarzucone, za to tiurniury



N. 3. Pelerynka z karoczką i rękawki z czarnego tiulu.



N. 4. Kołnierzyk krawatkowy z kokardką.

bardzo są wielkie. Jednakże dla dam, które rozbrat z krynoliną za niemożebny uważają, w tutejszym magazynie urządzają się takowe, dając nie na około ale tylko od tyłu za biodra ku przodowi 3 staki w ćwierciowej odległości, do nich od paska idzie rodzaj sznurówki z tyłu, jak np. do męskich kamizelek, aby staki te uszykować wedle woli, na większą lub mniejszą tiurniurę. Do ostatniego rzędu stalek przyszywa się układana i zaprasowana w



N. 2. Bluzka z zakładkami i wstawką tiulową. Zobacz ryc. 14 — 18.

drobne fałdki falbana z mocno sztywnej dymki lub merli. Jeżeli krynolina ma służyć do sukni z trenem, wówczas falbana podłuża się z tyłu, stosownie do długości trenu.

Do lekkich i ładnych wyrobów na suknie należy: baraż Mozambique z frendzlą w różnych znajdujących się kolorach po 50 k. łokcie, po tej samej cenie Moher w paseczki, i batyst wełniany w dwóch cieńszych po kop. 60.

W materiałach jedwabnych najmodniejsze kolory są: rezeda, lewanda, Ofelia. Na beduiny, bardzo zawsze wygodne stanowiących okrycie, pan Włodkowski sprowadził znaczny zapas wełnianego materiału w różnych barwach ze szkockimi szlakami, po 10 rs. za sztukę.

W tym samym magazynie widzieliśmy kilka ładnych kapeluszy. Jeden z nich wizytowy z tiulu czarnego i aksamitnych ruloników, neżykiem białym w rureczki układanym, podgarbirowany koło twarzy. Do wiązania służą szerokie końce z tiulu illusion w deseń, spięte czarną aksamit-



N. 5. Stanik z baskiną garniowany wolantem. Prząd.



N. 6. Stanik z baskiną garniowany wolantem. Plecy.

na kokardę. Pásowa slicznie ułożona z aksamitu kokarda, z leciuchną czarną kitką w górę daną, przystraja z prawego boku kapelusz. Z tyłu czarny koronkowy karczek długo spadający, z pod czarnej aksamitnej kokardy przypiętej tak, aby się z pasową łączyła. Drugi także tiulowy z bardzo szerokimi końcami tiulowemi, oszytymi 3 calową koronką; z tyłu także sam rodzaj welonika 3 ćwierciowej długości, przez całą długość poprzecznie naszyty koronkową przy marszczoną falbanką na 4 cale szerokość. Ubranie ze wstążki, z boku małe skrzydełko ptasie o mienionych barwach.

Do magazynu pani Kwiatkowskiej dotychczas nie nadszedł świeży transport letnich okryć, którego się co dzień spodziewają, lecz jest ogromny zapas slicznych kapeluszy po największej części do wiązania formą „Pamelii“ odrobione z czarnego tiulu, który i w tym roku pierwszeństwo mieć będzie przed kolorowemi materiałami. Najwięcej podobał się nam czarny tiulowy z różowem ubraniem; pod rondkiem w górę podniesionem były dwa paki różowe, jeden na dół drugi do góry przypięty. Nieco z boku od nich, po obu stronach dwie mocno nabite girlandki z drobnutkich różowych pączków, tworzące podgarniowanie. Końce tiulowe spięte różową kokardą; na wierzchu kapelusza małeńka bardzo nikła kitka z piórek czarnych, wychodząca z pod węża tiulowego. Z tyłu dwie długie wiszące wstążki 3 calowej szerokości: jedna różowa, druga czarna.

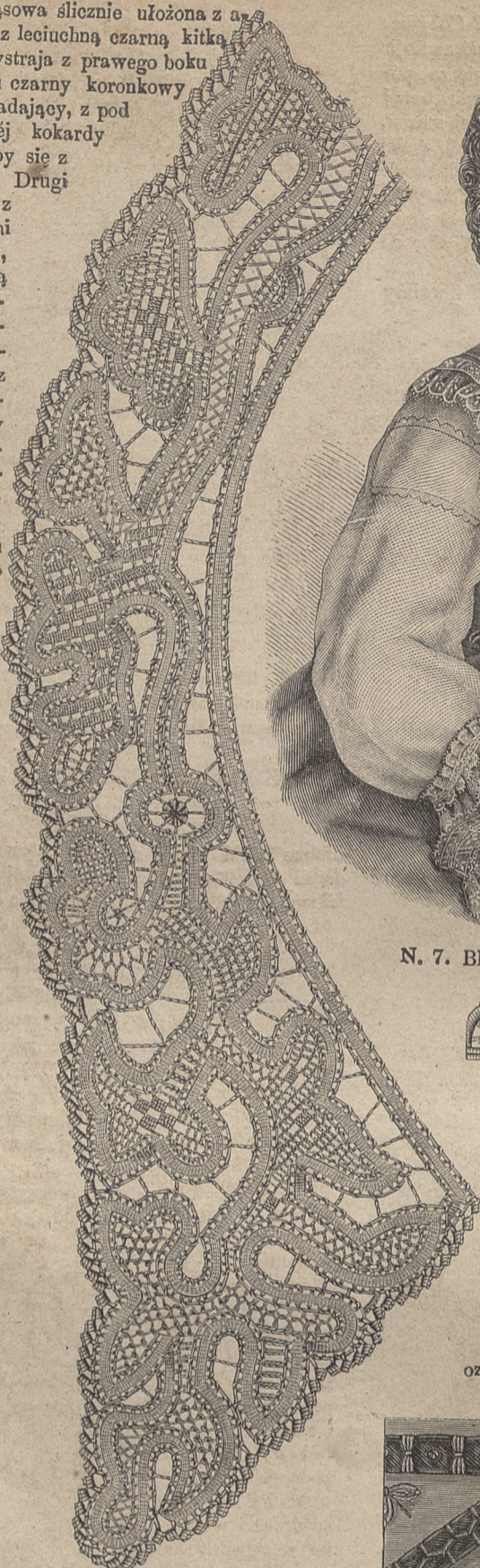
Drugi kapelusz czarny włosiany ubrany tiulem czarnym w deseń i koronką; z jednego boku nad rondem

wielka biała przekwitająca róża, z liśćmi. Z tyłu rodzaj podwójnego welonika, na który z przeciwnej strony spada druga, bardziej przekwitła róża z rezedą. Wierzchni bukiet pomieszany z upięciem z illuzji czarnej, kłami rą dżetową przytwierdzonej.

Trzeci kapelusz słonkowy. Rondko odwiniete w górę podeszycie aksamitem czarnym, to samo jak i karczek z tyłu, w guście małego daszka okaszkieta dla chłopców zrobiony. Zamiast podgarniowania nad czolem opaska z jeźmiennych kłosów podwójnie danych. Na wierzchu bukiet nizko spadający, z maków pąsowych i kłosów. Związanie ze słonkowej wstążki na trzy cale szerokiej, także same bardzo długie końce z tyłu rozpuszczone.

Czwarty kapelusz niebieski crepe de Chine. Returs z czarnego aksamitu. Nad czolem ubranie w guście zawoju z niebieskiej crepe de Chine. Końce bardzo szerokie frendzla dość szeroką oszyte. Przybranie stanowi pióro białe, którego przypięcie na krywka slicznie węzeł z crepe de Chine i aksamitu.

Dobór i rozmaitość sprowadzonych towarów do magazynu pana Thonesa tak jest wielką, iż niepodobniestwem jest wszystko opisać, podajemy więc tylko kilka słów o materiałach wełnianych i lekkich, które najczęściej tego roku używane będą. I tak np. batiste de laine, toile Vichy, popeline, crepe de laine z odpasowanym w sztuce szlakiem i frendzla w rozmaitych kolorach: lila, grisaille, mastique i t. p. W crepe de laine uwagę naszą zwrócić sliczny kolor niebieski. Ceny wyrobów wełnianych zaczynają się od 60 kop.



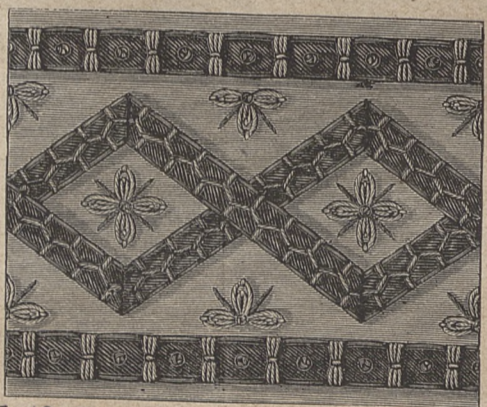
N. 7. Bluzka muslinowa z garnirunkiem szelkowym.



N. 8. Szlaczek haftowany atłaskiem.



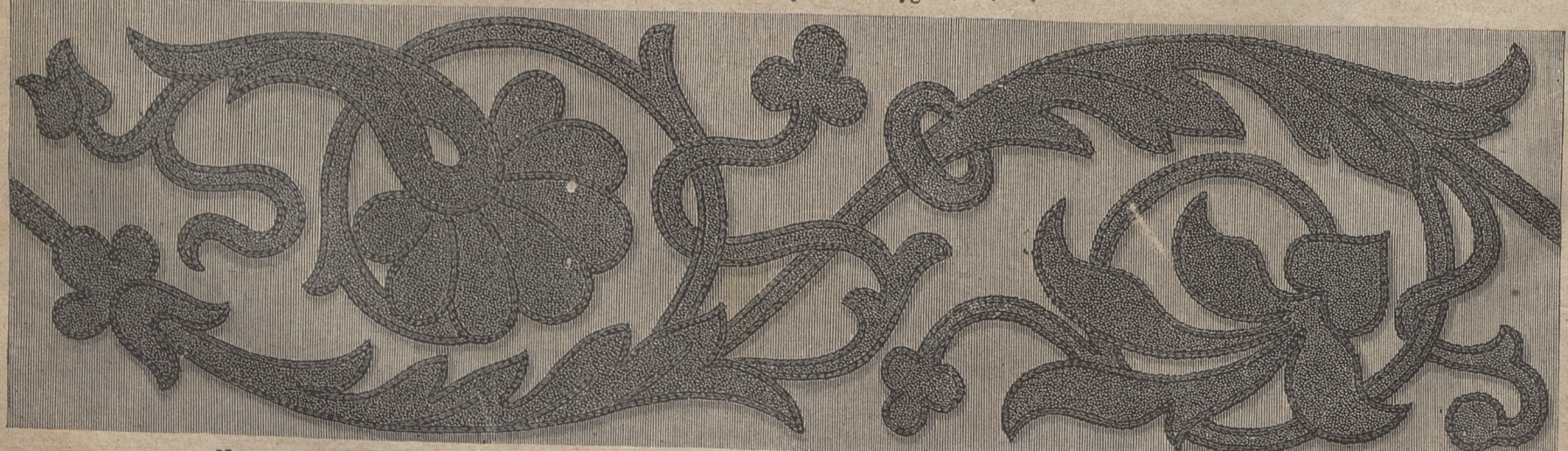
N. 9. Liść z aplikacją i haftu do ozdoby szmizetek, kołnierzyków itd.



N. 10. Połowa kołnierzyka. Koronka irlandzka.

N. 11. Połowa kołnierzyka. Haft gipiurowy, krepa czarna i sutasz.

N. 12. Deseń do wyszycia wstążeczki długim ścięciem. Zobacz kuferek ryc. 23 w Tyg. N. 21.



N. 13. Deseń na haft do franki ryc. 33 w N. 18 Tygodnika Mód. Aplikacja na suknie przytwierdzona ścięciem łańcasskowym.

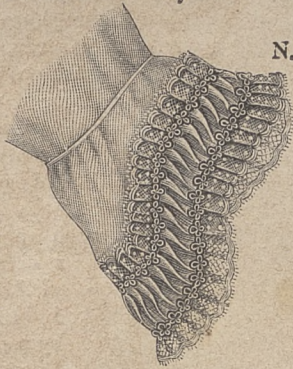
Cały szereg nowości posiada magazyn pana Thonesa w materiałach na lekkie letnie suknie jako to: batiste cotton, muslinki, żaknoty w rozmaitych kolorach z odpasowanym szlakiem od 35—45 kop.

Grenadyny, muslinki białe ze szlakiem jednokolorowym, imitującym naszytą koronkę i wstążki, znaleźliśmy w cenie od 50 do 60 kop. za lokciec.

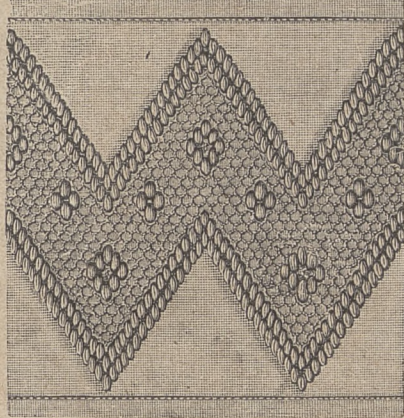
Sprowadzono także nowy wyrób na lekkie strojnieszkie suknie, zwany: organidine a bandes satinées. Jest to rodzaj muslinu we wszelkich kolorach w paski tegoż koloru atłasowe.



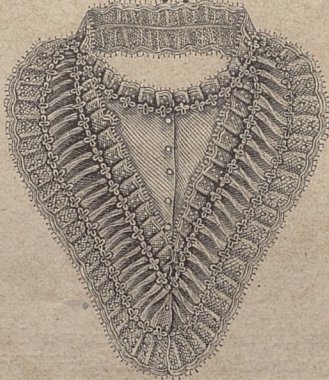
N. 14. Szlaczek do bluzek, szmizetek i t. d. Haft na tiulu dla muslinu.



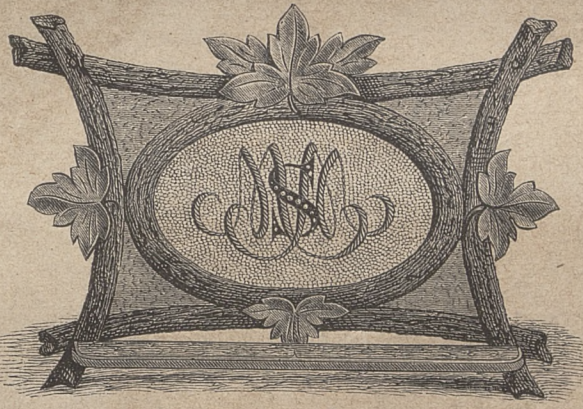
N. 15. Szlak do bluzek, szmizetek i t. p. Haft na tiulu podwleczony muslinem.



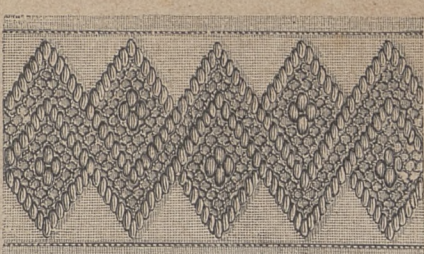
N. 17. Szlak do bluzek, szmizetek i t. p. Haft na tiulu naszyty na muslinie.



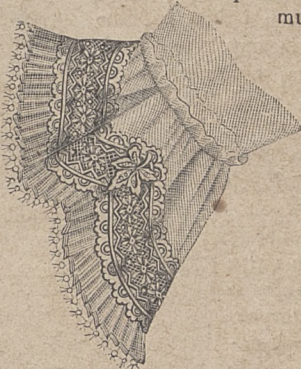
N. 19. Szmizetka. Zobacz rękaw ryc. 20.



N. 24. Pulpit z haftowanymi literami.



N. 16. Szlak do bluzek, szmizetek i t. p. Haft na tiulu muslinem podwleczony.



N. 21. Rękaw ozdobiony haftem na tiulu i na muslinie.

suknie popelinowe w dwóch cieniach lub też w paski jaśniejsze, czy ciemniejsze przybrane frendzlą i haftowanymi sutaszem.

Jedną z takich sukien miała paletot zupełnie nowym fasonem bardzo długi, tworzący zarazem tunikę, w kształcie krótszej spódniczki mocno podniesionej z boków. Suknia ta była z gładkiej popielatej popeliny z zaprasowanym wolantem, po nad którym dane były trzy plisy w paski atłasowe jaśniejsze. Długi paletot był z materiału w paski, gładką przybrany falbanką. Rękawy szerokie podpięte kokardą.

Modne są także spódniczki wełniane z popeliny lub wyrobu „sultane” w paski kolorowe, do których stanik i tunika są batystowe. Widzieliśmy

taką spódniczkę białą w niebieskie paski, z zaprasowanym wolantem skośnym, osztywnioną wążką koronczką. Stanik i tunika do tego batystowa éeru osztywniona koronką białą.

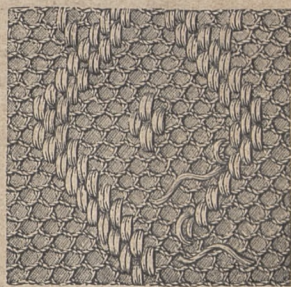
Bardzo trwałe w noszeniu są tak zwane angielskie barette gładkie, w paski lub kratki, w rozmaitych kolorach z frendzlą w sztuce odpasowaną. Suknia gotowa składająca się z ładnie ubranej spódniczki, tuniki, stanika, z tyłu z karoczką i kokardą bez paska kosztuje rs. 30.

Wielkie kwiaty otrzymają w tym roku pierwszeństwo przed drobnymi.

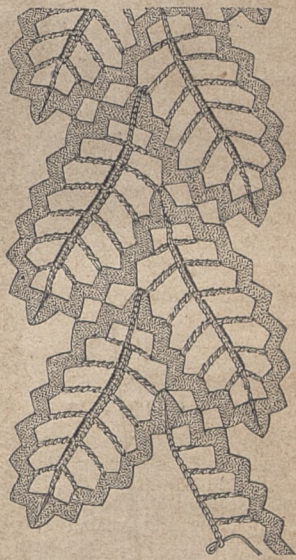
Nie możemy tutaj nie oddać należnej sprawiedliwości kwiatom pani Kleczeńskiej, mieszkającej przy ulicy Marszałkowskiej, gdzie znaleźliśmy i wybór kwiatów, tak gustowny, że do życzenia nic nie pozostawia. Paryżskie modele i wyrób pani Kleczeńskiej w niczym się nie różnią, nawet wprawne oko nie pozna, który bukiet zagraniczny

kiem z koronki koloru éeru. Tunika oszyta plisą i szerszą koronką éeru, z tyłu przemarszczona w trzy oddzielnie odznaczające się bufy. Stanik z baskiną zapinany na guziki; rękawy szerokie. Drugi kostium wełniany popielaty z odpasowanym szlakiem i frendzlą

białą. U dołu wolant zakończony frendzlą nie dochodzącą na 1 i pół cala do brzegu sukni, od góry plisa biała w miejsce nagłówka. Tunika odkładana z boków, zakończona frendzlą i szlakiem. Kaptaniczek zupełnie nowym fasonem, z tyłu do figury z fałdowanym karoczką, z przodu luźny, do tego pasek z kokardą. Cena rs. 28. Bardzo modne są



N. 18. Wykonanie haftu na tiulu i na muslinie do ryc. 14—17.



N. 23. Szlak z liści jako naszyt do sukien, bluzek, fartuszków i t. p. Plecioneczka i robota szydełkowa.



N. 22. Szydełkowa kratka z kwasiczkami.

Ceny stosują się do gatunku pokrycia i elegancji rączki.

Pokazywała nam p. Thonesowa także rozmaite gotowe kostiumy po różnych cenach, jedwabne od 70—180 rs., wełniane od 25—60 rs.

Szczegółowy opis kilku sukien podajemy bardzo krótki gdyż niepodobna w kilku wierszach opisać najfantastyczniejsze fasony tunik, baskin, karoczków, które są zupełnie odmienne przy każdej prawie sukni. Dodamy tylko, że staniczki obecnie bardzo są modne w baskinami i z karoczką już to przedłużonym od stanu, już też osobno w sztywnym pasku. Tuniki z przodu bywają po większej części w formie fartuszków lub otwarte z tyłu zaś fantazyjnie ułożone w kształcie marszczonych liści, podpinane i przemarszczone w kilka pojedynczych buf, na bokach otwierane, zakładane w fałdy i t. d.

Szczególniej odznaczały się świeżością wykończenia i nowością kolorów następujące kostiumy: Pierwszy w nowomodnym kolorze éeru czyli jasno piaskowym, u dołu zakończony szerokim prasowanym wolantem z nadgłów-



N. 25. Medaljon na pulpit, tekę i t. d. Haft jedwabnym i złotem na skórze lub suknie.

ny a tu odrobiony a jakże cena odmienna prawie niższa o połowę. Uderzyły nas szczególnie słicznie odrobione róże we wszystkich odcieniach, mały (modny kwiat w tym roku) przecudne boule de neige, które do białych, różowych i lilla kapeluszy zalecamy, rezedy nadzwyczaj naturalnie odrobione, azalie tak zładnie naśladowane, że mogą śmiało obok naturalnych figurować.

Zrobimy tu jeszcze wzmiankę o niektórych towarach nadeszłych do magazyń.



N. 26. Kapelusz krepowy. Fason patrz ryc. 27.

pana Kwiatkowskiego, Foulard de Vichy na letnie suknie po rs. 1 za łokieć. Kreton ze szlakiem po 50 kop. Łokieć Brylantyna w drobny rzucik 50 kop. Batyst koloru ecru po 75 kop.; bardzo ładne musliny na białem tle w kolorowe paski przesli-



N. 31. Fasonik do ryc. 29.



N. 30. Kapelusz „Pamela” bez wstążek do wiązania pod brodę.

cznie wyglądające po k. 50, jak niemniej różne percale w nowym guście, to jest w ogromne desenie, które prawdę mówiąc wcale nam się nie podobały, jednak stanowią ostatnią modę.

Dalszy ciąg opisu N. 19.

N. 34 — 35. Dwie koronki.

Koronki te frywolitkowe, wykonane szydełkiem, mają jak przy koronce ryc. 34 na widelkach odrobioną torsadkę, z jednej strony zakończają ją szydełkowy brzeżek, z drugiej frywolitki. Na rycinie 35 użyty sutasz, obrabia się słupkowym brzeżkiem i koronką ze słupków o ząbkach szydełkowych z pikotami.



N. 29. Kapelusz „Pamela” nie wiązany pod brodę i kostium „Marquéríte” podany z przodu. Zobacz ryc. 17 w Tyg. Mód N. 21. Fason kapelusza ryc. 30 i 31.



N. 36. Kapelusz wiosenny „Pamela.”

Fason ten ciągle noszony, pokrywa się bufującym jedwabnym czarnym tiulem, zakończonym stojącą marszczoną koronką. Czarnym rypsem i rulonikami rypsowymi pokryty diadem, od którego spada wstążka z kokardą, spięta z koronkową barwą spadającą z prawej strony kapelusza, nadają pewną lekkość całości. Gałązka różanych pączków z brunatnymi liśćmi i kokarda rypsowa dopełniają garnirunku.



N. 28. Kapelusz wiązany z włosienią i plecienki słomkowej.

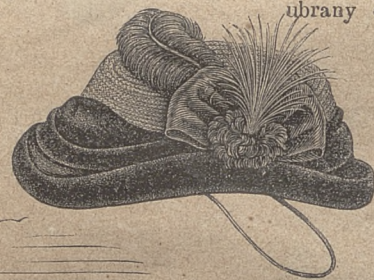
N. 37. Tiulowy toczelek.

Dość wysoki fason, z wązkim brzeżkiem, pokryty bufującym się czarnym tiulem, ma wkoło skręconą rypsovą wstążkę z wystającą mocno koronką.

Kokardy z koronki i rypsowej



N. 27. Fasonik nie ubrany do N. 26.



N. 32. Okrągły kapelusz słomkowy.

wstążki, przytwierdza ciemna róża z liśćmi.

N. 38. Okrągły słomiany kapelusz dla panienci.

Fason z białej słomy ma wykle rondo owalne wyrobione w ząbki. Białe rajskie piórko, białe i zielone z kaczki, stanowi garnirunek kapelusza.

Dalszy ciąg opisu N. 19 i 20 nastąpi w dodatku N. 21 Tygodnika Mód.